

BIBLIOTEKA
celtycka



WIRÓ SIKES

ELFY

BRITYSKIE GOBLINY,
WALISKI FOLKLOR,
ELFIA MITOLOGIA,
LEGENDY I TRADYCJE



WIRD SIKES

ELFY

**BRYTYJSKIE GOBLINY, WALIJSKI
FOLKLOR, ELFIA MITOLOGIA,
LEGENDY I TRADYCJE**

Przełożył Marek Skowerski

Armoryka

Sandomierz

BIBLIOTEKA CELTYCKA, Nr 8

Redakcja serii: Andrzej Sarwa

Redaktor tomu: Władysław Kot

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Juliusz Susak

Ilustracja na okładce: John Anster Fitzgerald (1823-1906), *Fairies Looking Through A Gothic Arch* (XIX wiek),
(licencja *public domaine*),

źródło: <http://commons.wikimedia.org/wiki/File:FairiesGothicArch.jpg>

Ilustracje w tekście autorstwa T. H. Thomasa (1839-1915) zaczerpnięto z książki *British Goblins. Welsh Folk-lore, Fairy Mythology, Legends and Traditions*, (licencja *public domaine*),

źródło: <http://www.sacred-texts.com/neu/celt/wfl/index.htm>

Tekst złożono czcionką IM FELL English.ttf -

The Fell Types are digitally reproduced by Igino Marini.

www.iginomarini.com, all rights reserved

Ornament na okładce złożono czcionką Owen Jones Celtic Borders.ttf,
której autorem i właścicielem jest Dave Nalle, The Scriptorium, www.fontcraft.com

Autor: Wirt Sikes (1836-1883)

Tytuł oryginału: *British Goblins*

Welsh Folk-lore, Fairy Mythology, Legends and Traditions

Podstawa przekładu: *British Goblins*

Welsh Folk-lore, Fairy Mythology, Legends and Traditions

by Wirt Sikes

with illustrations by T. H. Thomas [1839-1915]

London: S. Low, Marston, Searle & Rivington

[1880]

źródło tekstu: *The Internet Sacred Text Archive*:

<http://www.sacred-texts.com/neu/celt/wfl/index.htm> (29.12.2009);

licencja: *This text is in the public domain worldwide.*

Copyright © 2009, 2013 for the Polish edition by Wydawnictwo „Armoryka”

Copyright © 2009, 2013 by for the Polish translation by Marek Skowerski

Wydawnictwo ARMORYKA

ul. Krucza 16

27-600 Sandomierz

tel (0-15) 833 21 41

e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl

<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978-83-64145-15-5

Konwersja:



ROZDZIAŁ I

OPOWIEŚCI O ELFACH¹ I

STAROŻYTNEJ MITOLOGII

A wieczorem, podążając ścieżką
Mleczarka skraca sobie piosenką
Swą samotną drogę;
Widzi elfy i ich królową
Jak tańczą w kole razem
I słyszy jak śpiewają, o najróżniejszych porach,
Swe urzekające pieśni.

Uzupełnienia nauki - Obecne wierzenia w elfy w Walii -
Wiara kultury - Łatwowierność ignorancji - Kraina elfów w
Walii za dawnych czasów - Elfi król - Legenda św. Collena i
Gwyn ap Nudd - Zielone łąki morza - Elfy na jarmarku - Kraina
tajemnic.

I.

Jeśli idzie o inne podziały w dziedzinie folkloru, to zdania uczonych są podzielone, jednakże w świecie elfów zanikają one zupełnie. Uzgodnione jest, że opowieści o nich stanowią relikty starożytnej mitologii, a filozofowie mówią o nich zgodnie. Jest więc tak jak być powinno, jest to bowiem świat, który przechowuje tak miłe wszystkim wspomnienia z poetyckiego okresu życia - dzieciństwa, kiedy to jeszcze sceptycyzm nie zasiał swego ziarna, a ignorancja jeszcze się nie ujawniła. Wiedza, która wprowadza sceptycyzm, jest nieskończenie cenniejsza niż wiara, którą tenże wypiera, jednakże mimo to są pośród nas tacy, którzy nie mieli ulotnego żalu za starą wiarą w elfy, wypieraną przez nowoczesną naukę. W tych starych wierzeniach było coś szczególnie fascynującego, to „dawno, dawno temu”, dużo mniej oparty na faktach świat, nie tak powszedni i szary, nie podlegający tak bardzo nieubłaganemu prawu grawitacji, optyki i tym podobnych. Jakież to dramaty się tam działy! Jakie wiersze, jakie marzenia, jakie przyjemności!

Ale skoro wiedza, jaką daje nam dorastanie niszczy to wszystko, to z pewną dozą satysfakcji możemy zwrócić się do pociechy, jaką daje nam elfia mitologia. Ulubione opowieści z dawna są „nieprawdą”- ale chociaż nie oferują tylko nudnego nonsensu, a na pewno mają dobry i dostateczny powód, żeby istnieć na świecie, możemy dalej je szanować. Mądrała, który zauważył, że ostatecznym celem legend o elfach jest „dać rozrywkę tym, którzy nieustannie szukają swoich korzeni” [*Przegląd niedzielny*, 20 Października, 1877], wyraził smutną prawdę w żartobliwy sposób. Ponieważ nikt już nie może spać spokojnie będąc świadomym swej ignorancji, pocieszeniem dla wielbiciela opowieści o elfach jest, że nie musi on wyrzucać ich do kosza jak jakichś zbędnych śmieci, wręcz przeciwnie, stają

się one jeszcze bardziej interesujące w tym naukowym tyglu niż
gdy były pokazywane w stary sposób.

II.

Pośród prostego ludu w Walii wiara w elfy jest dużo żywsza niżby był to w stanie zauważyć przygodny obserwator. Nawet wykształceni mieszkańcy Walii, którzy mieszkają tam całe swe życie, nie mogą być oceniani jako ktoś inny niż tylko przygodni obserwatorzy w tej materii. Są tacy mieszkańcy, którzy poświęcili temu tematowi wiele uwagi i na tej podstawie wykształcili opinię aż do stopnia wyższości ogólnej łatwowierności w tej sprawie. Ale większość wykształconych Walijszyków, jak się przekonałem, nie ma na ten temat żadnego zdania poza niemrawym zaskoczeniem, że ktoś w ogóle zadaje to pytanie. Niedawno, bo w 1858 roku, pewien pisarz o szerokiej wiedzy ogłosił w „*Archaeologia Cambrensis*”, że „podróżny może obecnie przejść z jednego końca Księstwa do drugiego bez bycia zaskoczonym czy zabawianym jakimikolwiek legendami o elfach czy popularnymi podaniami, które kiedyś przekazywane były z ojca na syna.” Jednakże w tym samym magazynie osiemnaście lat później znalazłem wypowiedź pana Johna Waltera Lukisa (przewodniczącego Stowarzyszenia Naturalistów z Cardiff) na temat dolmenów, grobowców i starożytnych obozów w Glamorganshire: „Zawsze istnieją opowieści o elfach i duchach powiązane z nimi, niektóre z nich jednak, chociaż wierzy w nie cała lokalna społeczność, są totalnym absurdem; tak naprawdę im bardziej absurdalnie brzmią, tym większa w nie wiara.” [*Archaeologia Cambrensis*, 4th Sc., VI., 174]. Moje własne obserwacje skłaniają mnie do wspierania świadectwa złożonego przez ostatniego znanego z imienia i nazwiska świadka. Wykształceni Europejczycy zazwyczaj twierdzą, że tego rodzaju wiara jest już dawno martwa w ich kraju lub przynajmniej w ich najbliższej okolicy. Przypisują oni takowe wierzenia i ich pozostałości w tej

oświeconej epoce jakiemuś oddalonemu południu jeśli sami mieszkają na północy, północy, jeśli mieszkają na południu. Szczególnie zaś przypisują to poprzedniej epoce: w Walii poprzedniemu wiekowi, średniowieczu, bądź też czasom króla Artura. Rektor Merthyr, samemu będąc obecnie starcem, przypisuje je czasom swej młodości. „Jestem wystarczająco stary by pamiętać” pisał mi 30 stycznia 1877 „że tego typu wierzenia były bardzo szeroko rozpowszechnione pośród prostego ludu jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu”. Ludzie z tej wyższej kultury podtrzymywali tę wiarę we wszystko, co powiązane z elfami, jak mi się wydaje w każdym wieku prócz tych najodleglejszych. Chaucer w to wierzył i napisał pięć wieków temu [„Opowieść o Wyfie z Bathes” z „Opowieści kanterberyjskich”]:

Za dawnych dni, za króla Artura
W krainie tej pełno było elfów;
A mówię o setkach lat temu;
Ale teraz już nie uświadczy ich nikt.

W to samo wierzył Dryden, dwieście lat później, mówiąc o elfach:

Mówię o starożytnych czasach, bowiem teraz młodzian
Na próżno będzie przemierzać lasy
I nigdy nie mieć nadziei na zobaczenie nocnego korowodu.

We wszystkich późniejszych czasach autorzy pisali podobne rzeczy, ale już tak nie jest według nich, tak było tylko do niedawna. Prawdopodobnie prawda jest taka, że jeśli tylko zaczniesz żyć prostym życiem pełnym ignorancji, szczególnie mając za sąsiadów lud wsi, to znajdziesz jeszcze sporo ze starych wierzeń, mniej więcej tak samo silnych jak niegdyś przez ostatnie pięćset lat. Ale aby zejść do tego poziomu, trzeba się stać jednostką żyjącą tym życiem, tak jak ja to robiłem w Walii, i to nie tylko od czasu do czasu. Dopiero wtedy można usłyszeć prawdę, albo chociaż prawdziwe pozostałości klasy

społecznej, której się poszukuje. Jednakże praktyka przypisywania wiary w elfy czasom tuż przed swoimi nie odnosi się do zabobonów w ogóle, ponieważ, jeśli rozważyć wiele z nich, wiara w nie w mniejszym lub większym stopniu w konkretnych czasach (jak na przykład historia czarownic) jest dobrze udokumentowanym faktem. Ograniczę jednak wywód na tę chwilę do sfery elfów. W tej sferze dominująca wiara w Walii może zostać określona jako zakorzeniona w ignorantach, jako najsilniejsza w regionach wiejskich i tych, gdzie znajdują się kopalnie, jako dziecinna i poetycka, oraz przypisana wszystkim innym miejscom oprócz tego, w którym mieszka rozmówca - czy to sąsiednia gmina, czy to hrabstwo, czy może odległe góry, lub też mroczna kraina Gwerddonau Llion, zielone łąki morza.

III.

W czasach Artura i przed nimi, ludzie z Południowej Walii uważali Północną Walię za krainę, w której głównie zamieszkiwały elfy. W zbiorowych wyobrażeniach ten odległy kawałek kraju był schronieniem olbrzymów, potworów, magów i wszystkich innych zaczarowanych istot. To stamtąd przyszły elfy z wizytą do słonecznych południowych krain. Najważniejszym filozofem tej zaczarowanej krainy był olbrzym, który siedział na czubku góry i patrzył w gwiazdy. Był tam też król-czarodziej o imieniu Gwydion, który posiadał moc przemiany siebie w najdziwniejsze z możliwych postaci. Chłop żyjący na wybrzeżu Dyfed (Demetia) widział w oddali, ponad niebieskimi falami oceanu, mroczne czubki gór przeszywające chmury, strzegące tego mistycznego regionu samym majestatem. Stamtąd schodziły chmury burzowe z domu huraganu, stamtąd rozwijały się gorejące sztandary Północnych Świątek; tam pośród nieprzeniknionej ciemności wznosiła się ścieżka do siedziby króla elfów. Te szczegóły są obecne w *Mabinogion*, wspaniałych opowiadaniach o walijskim uroku, tak wspaniale przełożone na angielski przez panią Charlotte Guest [„The Mabinogion, z walijskiego Llyfr Coch o Hergest” przełożone i opatrzone komentarzami przez Lady Charlotte Guest. (Nowe Wydanie, Londyn, 1877.)]² i wierzy się, że cały *Mabinogion*, w którym można znaleźć te wszystkie szczegóły, został spisany w Dyfed. Był to region na zachodzie, dzisiejsze Pembroke, Carmarthen i Cardigan.

Współcześniejsze niż czasy wskazane powyżej, pewne tradycje umiejscawiają krainę elfów w dolinie Neath, w Glamorganshire. Szczególnie pewna stroma, ostro zwieńczona skała, zwana Craig y Ddinas, ma straszną reputację twierdzy elfiego plemienia [W Glamorganshire są dwa wzgórza o tej

nazwie, a w Walii jest ich więcej]. Ich jaskinie i rozpadliny przez wieki stanowiły dla elfów ulubione miejsce, a na ich szczycie odbył się sąd ostatnich elfów, które kiedykolwiek pojawiły się w Walii. Nie muszę chyba mówić, że żyją ciągle ludzie, którzy pamiętają wizyty elfów na Caig y Ddinas, którzy jednak stwierdzają, że nie widuje się już elfów w tamtym miejscu. Wielu twierdzi, że to metodyści je przepędzili. Co więcej, istnieją niezliczone opowieści ukazujące jak elfy, gdy jeszcze było ich w Walii wiele, były podburzane do czynów z zapiekłej niechęci do różnorakich kaznodziejów. Co ciekawe, niechęć tę objawiały one również wobec abstynentów.

IV.

Władcą elfów, ich szczególnych strażnikiem i obrońcą, był pewien Gwyn ap Nudd. Był on również władcą całego goblinińskiego plemienia. Jego imię często pojawia się w starożytnej poezji walijskiej. Pewien stary bard z czternastego wieku, który zwiedziony przez elfy wjechał na bagno u podnóża góry pewnej ciemnej nocy, nazwał ją „stawem rybnym Gwyn ap Nudd, pałacem dla goblinów i ich plemienia”. Skojarzenie tej legendarnej postaci z gobliniską sławą doliny Neath staje się jasne gdy nadmieniamy, że Nudd po walijsku jest wymawiane po prostu jako Neath, a nie w żaden inny sposób. Jeśli zaś idzie o elfią królową, to nie wydaje się ona istnieć pośród goblinów z Cambrii. Mimo to etymolodzy z Cambrii twierdzą, że imię Morgana pochodzi od Mor Gwyn, białej damy, a walijskie imię Morgan nie może nie być wymienione w tym kontekście, chociaż niekoniecznie ma ono jakieś wielkie znaczenie.

Legenda o św. Collen, w której pojawia się Gwyn ap Nudd, przedstawia go jako króla Annwyn (piekła czy też mrocznej krainy) oraz elfów. [„Greal” (cz.8, Londyn, 1805), str.337]. Collen odbywał okres umartwiania się jako pustelnik w swej celi pod nawiasem skalnym na pewnej górze. Tam pewnego dnia podsłuchiwał on dwójkę mężczyzn rozmawiających o Gwyn ap Nudd, a usłyszawszy o jego podwójnej naturze, zakrzyknął na tamtych, by powstrzymali swe języki miast rozmawiać o diabłach. Za to został on skrytykowany, bowiem król krainy elfów nie znosił takiego języka. Święty został wezwany przez króla na spotkanie na szczycie góry o północy i wreszcie po kilku początkowych odmowach się tam udał, biorąc ze sobą jednak butlę wody święconej. „A gdy tam dotarł, spostrzegł zamek przepełniony magią, dookoła zaś niego najprzedniejszych wojowników, oraz wielu minstreli grających

każdy możliwy rodzaj muzyki głosu i struny, oraz konie niosące na grzbietach młodzieńców najprzystojniejszych na świecie i dziewczęta o wytwornym wyglądzie, pełne energii, ledwie stąpające po ziemi, o wdzięcznych ruchach, będące w kwiecie swej młodości; a każde z nich stanowiło dwór potężnego władcy. Na szczycie zaś zamku spostrzegł uprzejmego mężczyznę, który zaprosił go do wejścia mówiąc, że król oczekuje go przy suto zastawionym stole. Collen wszedł do zamku, a doszedłszy do komnaty królewskiej zobaczył monarchę siedzącego na złotym tronie. Ten zaś powitał Collena z honorami, po czym zaprosił go do jedzenia zapewniając człowieka, że każdego jego najbardziej wyszukane życzenie zostanie spełnione i że dostarczony mu będzie każdy napój czy alkohol, którego by sobie tylko mógł zażyczyć, oraz że czekać będzie na niego w gotowości wiele sług, gotowych na każde jego skinienie służyć mu przy stole, rozrywką, towarzystwem czy podarunkami w całym szacunku należnym człowiekowi o jego wiedzy. „Nie będę jadł liści z drzew,” powiedział Collen. „Czyż nie widziałeś nigdy w życiu lepszych sprzętów niż te tutaj czerwone i niebieskie?” zapytał król. Wtedy odparł Collen „Takich jak tutaj owszem.” „A cóż to za sprzęty?” zadał pytanie król. Wtedy Collen stwierdził „Z jednej strony czerwień wskazuje na gorąco, a z drugiej niebieski na zimno.” Z tymi słowy Collen wyciągnął swą butlę i rozlał wodę święconą wszystkim na głowy, a gdy to uczynił, nagle wszystko zniknęło z jego oczu i nie było już ani zamku, ani wojsk, ani mężczyzn, ani dziewcząt, ani muzyki, ani pieśni, ani rumaków, ani młodzieńców, ani uczy, ani czegokolwiek prócz zielonych grani na wzgórzu.”

V.

Trzecie popularne wierzenie w krainę elfów nawiązuje do Avalonu z *Legend arturiańskich*. Zielone łaki morza, nazwane w trójce Gwerddonau Lion są

Zielonymi, magicznymi wyspami, spoczywającymi
W słońcu i pięknie na spokojnej piersi Oceanu.

„Walijskie melodie” Parry'ego

Wiele niezwykłych przesądów wciąż istnieje gdy idzie o te wyspy. Miały one być schronieniem dla dusz pewnych druidów, którzy, nie będąc na tyle świętymi, by wstąpić do chrześcijańskiego nieba, nie byli jednak na tyle źli, by ich skazać na tortury annwn, dlatego też otrzymali wstęp do tego romantycznego, oczyszczającego z grzechów raju. W piątym wieku wyruszyła wyprawa dowodzona przez brytyjskiego króla Gavrana, która miała odnaleźć te zaklęte wyspy. Wyruszył on wraz ze swą rodziną na nieznane wody i nigdy już o nim nie słyszano. Ta wyprawa jest upamiętniona w tej trójce jako jedna ze *Strat przez zaginięcie*, zaś dwie pozostałe dotyczą Merlina i Madoga. Merlin wyruszył w podróż na statku ze szkła; Madog wypłynął w poszukiwaniu Ameryki, a żaden z nich nie wrócił, obaj zniknęli. W Pembrokeshire i południowym Carmarthenshire da się odnaleźć ślady tej wiary. Są tam na tym romantycznym wybrzeżu żeglarze, którzy ciągle jeszcze opowiadają o zaczarowanych zielonych łakach leżących w kanale Irlandzkim, na zachód od Pembrokeshire. Czasem dane jest przez moment zobaczyć je śmiertelnikom, ale potem nagle znikają. Istnieją tradycje żeglarzy, którzy we wcześniejszej części obecnego stulecia zdołali postawić stopę na tych zaczarowanych wyspach - nie wiedząc przy tym, że to właśnie

te wyspy, dopóki nie wrócili do swych łodzi i nie zobaczyli na własne oczy jak te skrawki lądu znikają z oczu ani nie zatapiając się w morzu, ani nie odlatując gdzieś w górę, tylko po prostu nagle znikając. Elfy mieszkające na tych wyspach miały jakoby regularnie przybywać na jarmarki w Milford Haven i Laugharne. Czyniły swe zakupy bez słów, wykladały pieniądze i znikwały, zawsze pozostawiając za sobą wyliczoną sumę gotówki, którą zdawały się znać, mimo że nie pytały o ceny. Czasem były niewidzialne, ale często czyjeś bystre oko potrafiło je wypatrzyć. Zawsze w Milford Haven był jeden wybrany rzeźnik, do którego te elfy chodziły zamiast rozdawać swe względy bez namysłu. Ludowi zamieszkującemu Milford Haven dane było wyraźnie widzieć te czarodziejskie wyspy, leżące niedaleko od stałego lądu i wszyscy wierzyli, że żyje tam wiele elfów. Mówiło się też, że te elfy mogły chodzić tam i z powrotem między wyspami a lądem, dzięki ukrytemu przejściu podziemnemu rozciągającemu się pod dnem morza.

Odizolowany przylądek tworzący hrabstwo Pembroke postrzegany był jako tajemnicza kraina przez resztę Walii jeszcze długo po tym jak osiedlili się tam Flamandowie w 1113. Miała go jakoby spowijać tajemnicza mgła, mieszkańcy mieli mówić niezrozumiałym językiem, ni to angielskim, ni to francuskim, ni to walijskim, zaś z jego mglistych ciemności pochodziły najprzedziwniejsze opowieści i opisy cudów przekraczających ludzkie pojęcie. Z tej krainy przemawiały razem chrześcijaństwo i mitologia i trudno było powiedzieć komu się bardziej dziwić, poganinowi czy księdzu.

ROZDZIAŁ II

KLASYFIKACJA ELFÓW

WALIJSKICH

Ogólny opis - Zwyczaje Tylwyth Teg - Ellyllon, lub Elfy - Folklor walijski u Shakespeare'a - Rwali Pugh i Ellyll - Domowe korzenie historii - Ellyllda - Puk³ - Dolina Puków⁴, Breconshire - Skąd Shakespeare wziął swego puka - Pwca 'r Trwyn - Najczęstsza forma opowieści o pukach - Coblynau lub Elfy kopalniane - Krasnoludy z Cae Caled - Odpowiedniki Coblynau - Bwbach, lub Elf domowy - Legenda o Bwbachu i kaznodziei - Chochliki⁵ i hobgobliny - Przenoszenie śmiertelników w powietrzu - Odpowiedniki i oryginały.

I.

Ponieważ elfy są wytworem wyobraźni, niemożliwym jest sklasyfikowanie ich podług jednych niezmiennych zasad. W naukach ścisłych istnieją prawa, które nigdy się nie zmieniają, a jeśli już się zmieniają, to sama ich zmienność rządzi się bardzo precyzyjnymi zasadami. Nawet w najogólniejszym sensie mitologia komparatywna musi zachowywać się skromnie żeby być tolerowaną w surowym towarzystwie innych nauk. Dlatego też prezentując swe tematy, autor może tylko poddać się prawu logicznego ułożenia. Aby zabezpieczyć jak najwięcej z systemu, dla dobra studenta, który używa tej pracy jako źródła odniesień czy porównań, a przy tym by być jak najmniej nudną dla dobra czytających - to prawdopodobnie są limity rozsądnej ambicji. Keightley [„Elfia mitologia” (Wyd. Bolma), 78] dzieli na cztery klasy wszystkie najpopularniejsze elementy wierzeń skandynawskich co do elfów wyróżniając: 1. elfy; 2. krasnoludy; 3. nissy; 4. topielce⁶, ryboludzie i syreny. Student skandynawskiego folkloru na pewno od razu dostrzeże jak względny jest ten podział. Mimo to jest on prawdopodobnie tak dobry jak każdy inny. Elfy z Walii mogą być podzielone na pięć klas o ile nie nalega się tutaj zbytnio na analogię. Stąd też mamy: 1. Ellyllon czy też elfy; 2. Coblynau czy też elfy kopalniane; 3. Bwbachod czyli elfy domowe; 4. Gwragedd Annwn czy też elfy z jezior i strumieni; oraz 5. Gwyllion czy też elfy górskie.

Współczesnym walijskim słowem na określenie elfów jest y Tylwyth Teg, czarodziejski lud bądź ród. Czasem jest ono wydłużane do y Tylwyth Teg yn y Coed czarodziejski ród z lasu, lub też Tylwyth Teg y Mwn, czarodziejski ród z kopalni. Postrzegane są one jako istoty tańczące przy świetle księżyca na aksamitnej trawie, odziane w zwiewne, obszerne szaty w

kolorach zieleni, niebieskiego, białego czy szkarłatu - zazwyczaj, tak mi się wydaje, szczegóły dotyczące kolorów nie pasowały do siebie w różnych opowieściach o elfach. Mówi się o nich, że obdarzają one swoimi błogosławieństwami wybranych przez siebie śmiertelników, dzięki czemu są też zwane Bendith y Mamau, czy też błogosławieństwem matki, czyli dobrymi, małymi dziećmi, które dobrze jest znać. Nazwać elfy złym imieniem oznacza ściągnąć na siebie ich gniew, mówić o nich komplementami to zaskarbiać sobie ich przychyłność. Studenci elfiej mitologii widzą w tym ułaskawiającym sposobie mówienia fakt o wielkim znaczeniu. Da się go odnaleźć w niezliczonej ilości krain od początków historii rodzaju ludzkiego pośród otulonych chmurami szczytów Azji Centralnej. Grecy mówili o elfach Eumenides, wdzięczni; górale wymienieni przez sir Waltera Scotta wyjawiają na szafocie, że nazywają to „dobrą szubienicą”; Dajakowie nie mieli nazwy na czarną ospę, ale nazywają ją „wodzem”; Lapończycy nazywają niedźwiedzia „starym człowiekiem w futrzanym płaszczu”; w Ammanie tygrys nazywany jest „dziadkiem”; i uważa się, że powiedzenie „o zmarłych nie mówi się źle” pochodzi z idei ułaskawiania ducha zmarłej osoby [John Fiske, „Mity i ich twórcy”, 22], która po wyzbyciu się śmiertelnego ciała zyskuje moce, którymi jest w stanie zaszkodzić swym najbliższym.

II.

Ellyllon są lilipucimi elfami, które nawiedzają łąki i doliny, a które wydają się być bardzo zbliżone do elfów angielskich. Nazwa angielska prawdopodobnie wywodzi się z walijskiego el, „duch, elf, żywiołak”, istnieje cała masa słów w tej klasie w języku walijskim, które wyrażają wszelkie wariacje zmienności, płynności, duchowości, diabelstwa, anielstwa i goblinizmu. Ellyllon (liczba mnoga od słowa ellyll) są również bez wątpienia spokrewnione z hebrajskim Elilim, dzielą bowiem zarówno identyczne korzenie jak i znaczenie [„Słownik walijskiego” Pughe. (Denbigh, 1866)]. Poeta Davydd ab Gwilym mówi w swoim humorystycznym opisie własnych kłopotów we mgle w roku 1340:

Yr ydoedd ym mhob gobant
Ellyllon mingeimion gant.

W każdej dziurze
Widać było setki powykrzywianych twarzy elfów

Dziury, albo raczej małe doliny, ciągle są miejscami, gdzie spóźnieni wieśniacy po drodze z jarmarku czy targu do domu szukają ellyllon, ale nigdy nie potrafią ich znaleźć. Ich jedzenie walijski folklor określa jako czarodziejskie masło i czarodziejskie wiktuały, ymenyn tylwyth teg i bwyd ellyllon. Te drugie to muchomory bądź też trujące grzyby, a te pierwsze to przypominająca masło substancja, jaką można odnaleźć na dużych głębokościach w szczelinach skalnych skał wapiennych, w miejscach, gdzie znajduje się rudę ołowiu. Ich rękawiczki, menyg ellyllon, są wykonane z dzwonek naparstnicy, której liście mają opinię silnego środka uspokajającego. Ich królowa - bo chociaż nie ma elfiej królowej w tak szerokim znaczeniu jak

Gwyn ap Nudd będący elfim królem, to jednak jakaś królowa istnieje - to nikt inny jak shakespeareowska elfka, o której mówi Mercutio, która jest

Z kształtu nie większa niż kamień agatu
Na palcu wskazującym radnego miejskiego
[„Romeo i Julia”, akt II, scena 4]

Shakespeareowskie użycie walijskiego folkloru, powinno zostać podkreślonym, było zakrojone na szeroką skalę i zadziwiająco wierne. W swojej „Elfiej mitologii” Keightley bardzo słabo ocenia barda za jego nieprecyzyjne użycie angielskich przesądów na temat elfów, jednakże ta nagana nie dotyczy czegokolwiek zapożyczonego z Walii. Od swojego walijskiego informatora Shakespeare wziął słowo Mab, które po prostu oznacza po walijsku małe dziecko, a które stanowi podstawę dla niezliczonej ilości słów oznaczających dziecko, niemowlę, miłość do dzieci (mabgar), kociąt (mabgath), paplaninę (mabiaith) i tym podobne. Najciekawsze z tych połączeń to mabinogi, liczba pojedyncza od słowa mabinogion, romantyczne opowieści o czarach opowiadane młodym ludziom w wiekach ubiegłych.

III.

W karczmie »Odpoczynek Myśliwego« w Peterstone-super-Ely, w pobliżu Cardiff, pewnego wieczoru siedziała grupa skromnych wieśniaków, a mnie było dane zatrzymać się tam przy kominku po długim spacerze po zielonych łąkach. Mężczyźni pili piwo ze swych kufli i palili swe długie, gliniane fajki. Rozmawiali przy tym o swych psach i koniach, o uprawach, o ciężkich czasach, o widokach na poprawę własnego bytu po wyjeździe do Ameryki. Ponieważ byłem w stanie powiedzieć co nieco na ten ostatni temat, to szybko zapoznałem się z nimi i nawiązałem nić przyjaznego porozumienia. Poprowadziłem rozmowę w domenę folkloru, dzięki czemu ta książka na wielu stronach jest bogatsza o ilustracje. A pośród wielu różnych opowieści oto co usłyszałem:

Na pewnej farmie w Glamorganshire żył sobie Rowli Pugh, który był szeroko znany ze swego braku szczęścia. Nic, czego tknęła się jego ręka, nie działało jak powinno. Jego plony były niskie nawet jeśli jego sąsiadom udało się zebrać dużo; dach jego domu przeciekał pomimo wszelkich prób naprawy; ściany jego domu wiecznie były przesiąknięte wilgocią nawet jeśli ściany domostw sąsiadów były suche; ale przede wszystkim jego żona była tak wątła, że nie była w stanie pracować. Powodziło mu się tak źle, że w końcu zdecydował się sprzedać swój majątek aby spłacić swe długi, nie ważne przy jakich stratach własnych, i spróbować szczęścia w innym kraju - ale nie w Ameryce, ponieważ wtedy jeszcze nie było Ameryki. Cóż, a nawet gdyby była, to biedny Walijszyk by o niej i tak nie wiedział. Gdy tak Rowli siedział na murku przy swym domu pewnego dnia rozmyślając o swym twardym, smutnym losie, odwiedził go mały człowiek, który zapytał go skąd ta smutna mina. Rowli rozejrzał się zaskoczony dookoła, ale zanim zdążył

odpowiedzieć, ellyll powiedział do niego z uśmiechem na ustach:

- Cicho cicho, wstrzymaj swój język. Wiem o tobie więcej niż tobie się kiedykolwiek marzyło wiedzieć. Masz problemy i chcesz odejść. Ale możesz zostać, ponieważ ja z tobą porozmawiałem. Każ tylko swej dobrej żonie zostawić zapaloną świecę, gdy udaje się ona na spoczynek i już o tym nie mów.

Po tych słowach ellyll fiknął koziołka i zniknął w trawie. Oczywiście farmer zrobił tak jak mu kazano, a od tamtego dnia zaczęło mu się dobrze wieść. Każdego wieczoru Catti Jones, jego żona, [do niedawna kobiety w Walii zachowywały swe panieńskie nazwisko nawet po zamążpójściu] wystawiała świeczkę, zasypywała palenisko i szła spać, a każdej nocy elfy przychodziły, by przygotować za nią chleb i napitki, oraz jej pranie i szycie. Czasem nawet przynosiły własne materiały i narzędzia. Farmer od tamtej pory nosił się dobrze, miał dobry chleb i dobre piwo. Czuł się nowym człowiekiem i tak też pracował. We wszystkim mu się układało jak nigdy przedtem. Jego uprawy dawały wysokie plony, jego obory były wyczyszczone, jego bydło dobrze utuczone, a jego świny były najtłustsze w regionie. Tak się miały rzeczy przez trzy lata. Pewnej nocy Catti Jones wbiła sobie do głowy, że musi zobaczyć elfią rodzinę, która wykonywała dla niej całą pracę. Ciekawość zwyciężyła bojaźń, kobieta wstała podczas gdy jej mąż smacznie chrapał i spojrzała ostrożnie przez szparę w drzwiach. Były tam, cała gromadka wesołych ellyllon, pracujących jak szalone, a przy tym tańczących i zaśmiewających się do rozpuku przy tej pracy. Catti tak się to spodobało, że wbrew sobie sama poczuła potrzebę śmiania się. Na dźwięk jej głosu elfy rozbiegły się i rozwiały jak mgła pod wpływem wiatru, a pokój nagle stał się pusty. Już nigdy nie wróciły, ale farmerowi dalej się wiodło dobrze, już nigdy nie wróciła do niego plaga nieszczęść.

To jak bardzo ta opowieść przypomina wiele innych od razu powinno się rzucić w oczy studentowi komparatystyki folkloru. Zauważy on również, że wchodzi ona w domenę innej z gałęzi

przeze mnie wymienionych, mówi o Bwbach, elfach z gospodarstw domowych. O, to kamień, o który każdy badający tę dziedzinę wiecznie się potyka. Idea pana Baring-Gould'a że wszystkie opowieści o tych elfach da się zredukować do jednego, pierwotnego korzenia (w taki sam albo podobny sposób, w jaki odnajdujemy korzenie słów), chociaż dobrze przez niego przedstawiona, nieustannie zмага się z problemami takimi jak te wymienione tutaj. Natyka się on na przeszkodę, która leży na drodze każdemu, kto nią podąża. Jego korzenie czasem stają się niesamowicie pokręcone i poskręcane ze sobą. Pewien wysiłek tego rodzaju jest jednak konieczny, a my musimy zrobić z tymi materiałami wszystko, co w naszej mocy. Opowieści z klasy tych Grimm'ego Witchelmännera (Kinder und Hausmärchen) będzie przypominana przez legendę Rowliego Pugh'a, tak jak zostało to tu powiedziane. Niemieckie Hausmänner to elfy z grupy tych domowych, czasem psotne, a czasem pomocne, ale zazwyczaj pragnące za swą pracę jakiejś materialnej nagrody. Tak jak angielski goblin nazwany przez Milтона w „L'Allegro”, który ciężko pracuje,

Aby zapracować na miskę śmietany.

IV.

Ellylldan to gatunek elfów dokładnie odpowiadający angielskim Will-o'-wisp, skandynawskim Lyktgubhe i bretońskim Sand Yan y Tad. Walijskie słowo dan oznacza ogień, dan oznacza również przynętę, a złożenie słowa sugeruje wabiący elfi ognik. Bretońskie Sand Yan y Tad (Św. Jan i Ojciec) [„Elfia mitologia, Keightley, 441] to podwójne elfy *ignis fatuus*, niosące na końcach swych palców pięć ogników, które kręcą się dookoła jak kółka. Murzyni z południowych stanów nadmorskich przypisują temu typowi goblinów straszliwe przymioty. Nazywają je Jack-muh-lantern, i opisują je jako odrażające stworzenia wysokie na pięć stóp, o wybałuszonych oczach i wielkich paszczach, o ciałach pokrytych długą sierścią. Mają one jakoby przemieszczać się dalekimi skokami i susami niby gigantyczne koniki polne. Te przerażające stwory są silniejsze niż jakikolwiek mężczyzna, szybsze od każdego konia i zmuszają swe ofiary do podążania za nimi na bagna, gdzie nieszczęśnik jest zostawiany na własną zgubę.

Tak jak wszystkie gobliny z tej klasy, Ellylldan były oczywiście widywane podczas tańców na terenach podmokłych, gdzie wabiły spóźnionego podróżnika, ale jak zauważył to pewien zasłużony mieszkaniec Walii, biedny elf umiera z głodu, i pozbawiony oddechu; jego ogień jest na zawsze gaszony przez farmera, któremu się lepiej powodzi gdy już osuszy bagno. Zamiast zaś rozkładającej się roślinności na jesieni, pośród której ukrywają się bekasy i bąki, w tamtym miejscu uprawiane są kukurydza i ziemniaki. [„Notki i pytania' Hon, W. O, Stanley, M.P]

Bardziej poetycka opowieść współczesnej postaci nazywanej Bard lola, wygląda w ten sposób: „ Pewnej nocy, gdy księżyc już zaszedł, siedziałam na wzgórzu, gdy nagle przeszedł koło mnie

Ellylldan. Podążyłam za nim do doliny. Przekroczyliśmy sadzawki, na których widać było sitowie, a gdzie cicho na powierzchni wody leżały jaszczurki, spoglądające na nas nieruchomymi oczyma. Żaby kumkały i rozdymały swe boki, ale zaprzestawały tego, gdy tylko ich melancholijne spojrzenia padały na Ellylldan. Dzikie ptactwo, śpiące z głowami ukrytymi pod skrzydłami, wydawało niskie pomruki gdy przechodziliśmy obok. Zbudził się bekas i z wrzaskiem uniósł się w powietrze. Poczułam dotknięcia węgorzy i pijawek gdy brodziłam przez te sadzawki. Na obślizgłym kamieniu siedziała ropucha wysysając truciznę z nocnego powietrza. Ellylldan zajaśniał w tych oparach. Unosiły się one powoli ponad krzakami spoczywającymi w mule. Gdy się wahałam lub zatrzymywałam, tamten czekał na mnie, ale stopniowo się oddalał aż ledwie go widziałam. Jednak gdy tylko znów ruszałam przed siebie, ten znów wystrzeliwał z gąszczu przede mną i przemykał w pobliżu. Dookoła nas latał nietoperz. Wielkie sowy patrzyły na nas w ciszy swymi szerokimi oczyma. W pobliżu pełzały robaki i węże. W świetle Ellylldan migotały silne włókna pajęczych sieci. Nagle odskoczył ode mnie i gdzieś dalej dołączył do gromady swych towarzyszy, która rozpoczęła powolny taniec goblinów, a ja zapadłam w sen.”

[„Dolina Glamorgan” (Londyn, 1839.)]

V.

Pwca lub Pooka to tylko kolejne imię dla Ellylldan, tak jak nasze Puck jest kolejną nazwą dla Will'-o-wisp, ale w obu przypadkach ta krótsza nazwa ma bardziej poetycki posmak i jest szerzej znana. Nazwa Puck najpierw była przypisana całej rasie angielskich elfów, a na świecie ciągle jest mało takich, którzy cieszą się większą popularnością niż Puck, pomimo ich złych cech. Część tej popularności ma miejsce dzięki poetom, szczególnie dzięki Shakespeareowi. Nawiązałem już do dokładnej wiedzy barda na temat walijskiego folkloru, temat jest szczególnie ciekawy ze względu na oskarżenie o brak wiedzy na temat elfów angielskich. Według walijskiej tradycji Shakespeare otrzymał swą wiedzę na temat walijskich elfów od swego przyjaciela Richarda Price'a, syna Sir Johna Price'a z klasztoru w Brecon. Utrzymuje się nawet, że Cwm Pwca, albo Puck Valley, część romantycznej doliny górskiej Clydach w Breconshire, jest oryginalną sceną *Snu Nocy Letniej* - coś tak ciekawego i zajmującego jak sam Puck. [Jeśli wierzyć listowi napisanemu przez poetę Campbella do pani Fletcher w 1833 i opublikowanego w jej *Autobiografii*, myślano, że Shakespeare osobiście udał się w to miejsce, aby zobaczyć zaczarowaną dolinę. „Nie wcześniej niż wczoraj, pisała Campbella, „odkryła możliwość - prawie pewność - że Shakespeare odwiedził swych przyjaciół w samym mieście (Brecon w Walii), gdzie urodziła się pani Siddons, i że znalazł on w pobliskiej dolinie górskiej, nazywanej „Doliną Zaczarowanego Chochlika”, najważniejsze elementy do swego *Snu Nocy Letniej*.] Cokolwiek by się nie stało, to Cwm Pwca istnieje, a w czasach, gdy jeszcze porastał ją las, nim jeszcze wzniesiono tam hutę żelaza Frere'a i Powell'a, mówiono, że pełno tam goblinów tak jak w głowie metodysty jest mnóstwo pobożności. A w Walii istnieją inne miejsca o

podobnych nazwach, gdzie żarty Pwca dobrze zapadły w pamięć najstarszym mieszkańcom. Skala popularności zjawiska w Walii wyrażona jest żartobliwie słowami Shakespeare'a płynącymi z ust Pucka:

Podążę za tobą, będę cię prowadzić na manowce
Przez bagno, przez krzaki, przez zarośla, przez wrzosiec,
Czasem będę koniem, a czasem ogarem,
Czasem wieprzem, bezgłowym niedźwiedziem, czasem płomieniem;
Będę rzeć, czekać, chrumkać, mrużyć, ryczeć i płońać
jak koń, ogar, wieprz, niedźwiedź, ogień, przy każdym zakręcie
[„Sen Nocy Letniej”, akt III, scena 3]

Różne opowieści, na które się natknąłem, przywołują te detale prawie bez opuszczeń. Każda jednak na właściwy sobie sposób. Pwca mają wystarczająco groteskowe oblicze elfie. Mówi się, że chłop z Walii, poproszony o podanie wyglądu Pwca, rysował poniższy rysunek kawałkiem węgla:



Służka, która doglądała bydła na farmie Trwyn w pobliżu Aberrgwyddon dla „pana Pwca”, tak bowiem nazywała elfa. Miska świeżego mleka i kromka białego chleba były częściami składowymi posiłku elfa, były one składane w odpowiednim miejscu, gdzie ten po nie przychodził. Pewnej nocy dziewczyna,

w której obudził się duch psoty, wypila mleko i zjadła większość chleba, zostawiając panu Pwca tylko wodę i okruszki. Następnego dnia spostrzegła, że wybredny elf nie tknął jedzenia. Niedługo potem dziewczyna przechodziła koło opuszczonego miejsca, gdzie wcześniej zostawiała elfowi jedzenie, nagle złapały ją pod pachy ręce (których jednakże nie mogła widzieć) i poddały ją niewymownym torturom. Równocześnie dotarło do jej uszu ostrzeżenie wypowiedziane czystym walijskim, by już nigdy nie poważyła się na taką obrazę pod groźbą jeszcze sroższej kary. W tę opowieść „wierzą wszyscy po dzień dzisiejszy.” [Archaeologia Cambrensis, 4-ty wykład, VI, 175. (1875)]

Byłem w miejscu opisanym w tej historii, na farmie niedaleko od Abergwyddon (obecnie nazywane Abercarne) i usłyszałem wiele o dalszych dokonaniach tego konkretnego elfa, do których jeszcze nawiążę. Najbardziej znaczący jest fakt, że chociaż upłynął co najmniej wiek, a według niektórych nawet kilka wieków od czasu tych wydarzeń, to jednak wśród walijskich chłopów nie uświadczysz takiego, który by nie znał Pwca'r Trwyn.

VI.

Najbardziej znajoma forma opowieści o Pwca to taka, którą odkryłem w kilku miejscach, różniąca się tak nieznacznie detalami, że każda z tych opowieści mogłaby być używana zamiennie po zmianie nazw miejsc, na te odpowiadające danemu regionowi.

Ta forma mówi o chłopie, który wracając do domu z pracy bądź z jarmarku widzi przed sobą przemieszczające się światło. Po podejściu bliżej widzi on, że to światło jest niesione przez małą, mroczną postać trzymającą latarnię lub świeczkę na wyciągnięcie ręki nad swą głową. Człowiek podąża przez kilka mil za stworzeniem, a nagle stwierdza, że stoi na krawędzi przepaści. Z daleka napływa do jego uszu odgłos przetaczającego się strumienia. W tym samym momencie goblin przeskakuje na drugą stronę i oświeśla tamten brzeg, ponownie unosi światło wysoko nad głowę, wydaje z siebie głośny i złowieszczy śmiech, po czym zdmuchuje świeczkę i znika gdzieś pośród pobliskich wzgórz, zostawiając zaskoczonego chłopca, który musi sam sobie poradzić z powrotem do domu.

VII.

Pod ogólnym pojęciem Coblynau umieszczam elfy, które nawiedzają kopalnie, kamieniołomy i podziemne regiony Walii, nawiązując do kabalistycznych gnomów. Słowo coblyn ma podwójne znaczenie: kołatki, bądź olbrzyma i duszka, bądź diablęcia; czyżby to było coś, co później nazwiemy goblinem? Walijscy górnicy nazywają tak lilipucie elfy mieszkające w kopalniach i wskazujące dziwnymi stukami bądź chrobotaniem bogate żyły rudy. Przekonanie to jest rozszerzone w niektórych miejscach i oznacza ogólne wskazanie podziemnych skarbów w jaskiniach i sekretnych miejscach w górach. Coblynau są opisany jako wysokie na pół jarda i brzydkie stworzenia, które jednak mają dobrotliwe serca i są zawsze dobre dla górników. Ich ubiór to groteskowa imitacja stroju górników, którego uzupełnieniem są małe młotki, kilofy i lampki. Pracują w pocie czoła ładując rudę do wiader, majsterkując przy szybach, przekręcając małe kołowrotki i uderzając kilofami jak szaleni, ale tak naprawdę nie osiągają niczego pożytecznego. Mówi się, że miały w zwyczaju obrzucać górników kamieniami gdy się je rozgniewało zbyt lekką mową, ale kamienie nie były groźne. Nie mniej jednak wszyscy górnicy o odpowiednim nastawieniu powstrzymują się od prowokowania tych elfów, ponieważ ich obecność jest zwiastunem szczęścia.

VIII.

Możliwe, że górnicy nie są bardziej przesądni niż inni ludzie o podobnej inteligencji, słyszałem, że część z nich hardo odpiera wszelkie zarzuty o przesadność, ma to jednak po prostu służyć wyniesieniu ich ponad poziom zwykłego społeczeństwa ludzkiego. Jest wystarczająco dużo dowodów dla poparcia moich własnych wniosków, które nadają sporą dozę wiarygodności klasie górniczej. Gazetka reklamowa Oswestry całkiem niedawno zarejestrowała fakt, że w Cefn „pewna kobieta jest zatrudniona jako posłaniec w jednej z kopalń węgla. Wykonując swe obowiązki spotyka wielu pracowników zmierzających do swoich kopalń. Niektórzy z nich, jak nas poważnie zapewniono, uważają zobaczenie z rana kobiety za zły omen, a ponieważ nie udało im się zniechęcić tej kobiety, poczekali na zarządcę i oznajmili, że nie ruszą się z domów do pracy, dopóki ta kobieta nie zostanie zwolniona”. Działo się to w 1874. W czerwcu 1878 *Dziennik South Wales* doniósł o przesadach kamieniarzy z Penrhyn, gdzie kilka tysięcy mężczyzn odmówiło pracy w dniu Wniebowstąpienia. „Ta odmowa nie jest wynikiem jakiegoś doznania religijnego, ale starego i szeroko znanego przesądu, który utrzymuje się w tej dzielnicy od lat, a który mówi, że na pracujących w to święto niechybnie spadną nieszczęścia. Kilka lat temu agenci przekonali pracowników do przełamania przesądu i każdego roku miały miejsce wypadki - raczej niezbyt zaskakujące, biorąc pod uwagę jak wiele się tam dzieje i niebezpieczną naturę pracy tych mężczyzn. W tym roku jednak pracownicy jak jeden mąż odmówili pracy.”

Oto przykłady na temat znaczącej ilości ludzi z klasy górniczej, przytoczone w tym miejscu jako bardziej znaczące, niż jakiegokolwiek indywidualne przypadki. Tych ostatnich

bowiem odnalazłem wiele. Poczuliśmy się jednak źle, jeśli którykolwiek czytelnik miałby wyciągnąć z tego wniosek, że walijscy górnicy nie zaliczają się do inteligentnych, chodzących do kościołów i czytujących gazety ludzi. Zaliczają się, myślę że nawet bardziej niż to się wydaje. Zatem ich przesady, tak jak te nasze, muszą być oceniane jako „stojące obok”, nie mające nic wspólnego z inteligencją czy wykształceniem, ale istniejące równolegle z nimi. Absolutna wolność od przesądów jest możliwa tylko w kulturze opartej na nauce w stopniu, którego jeszcze nie udało się osiągnąć ludzkości.

Nie powinno zaskakiwać że górnicy są przesądni. Ich życie płynie w mrocznych i przygnębiających miejscach, pośród cieni, pod zieloną powierzchnią ziemi, otoczone przez ściany, na których wiszą przytłumione lampki rzucające mdłe światło. Nie jest zatem niczym zastanawiającym, że wyobraźnia (a walijska wyobraźnia jeszcze szczególnie żywa) przywołuje twarze i postacie gnomów i coblynau, albo duchy czarodziejskich ludów. Słyszac tajemnicze stukanie, o którym wiedzą, że nie tworzy go żaden człowiek, a po zbadaniu miejsca skąd ono dochodziło odkrywając cenne złoża rudy, nawet najbardziej uparty niedowiarek musi się zastanowić. Nauka sugeruje, że hałas może powstawać w wyniku oddziaływania wody na luźne kamienie w szczelinach i dziurach górskiego wapnia, co tak naprawdę sugeruje obecność metali.

W czasach zanim Priestley złapał i zabutelkował demona istniejącego pod postacią kwasowego gazu karbonowego, gdy górnika powalał niewidzialny wróg gdzieś głęboko pod ziemią, naturalnym było, że jego kompanii przypisywali to tajemnicze zdarzenie jakiemuś nadnaturalnemu wrogowi. Gdy pracownika otaczał nagle obecnie nam znany gaz kopalniany, który rzucał nim i jego towarzyszami na prawo i lewo o ciemne skały paląc, niszcząc i zabijając, ci, którzy przetrwali, raczej nie mogli kwestionować istnienia diabła w kopalni. Tak powstawały przesady - teraz pewnie już zanikające - o bazyliiskach w kopalniach, które siały zniszczenie swoim strasliwym spojrzeniem. Gdy pojawiło się wytłumaczenie, to to coś, co

zabijało górników, okazało się być wdychanym przez nich gazem, a nie czymś, co oni widzieli, zaś gdy chemia zajęła się metanem i wypchnęła go z domeny czarów, bazyliszek i ognisty potwór nie znajdowały już oparcia. Wyjaśnienie Bwca jest bardziej współczesne, chociaż mniej wiarygodne i przekonujące.

IX.

Coblynau zawsze przypisuje się postać krasnoludów w popularnym ujęciu. Czy to widziani, czy słyszani, wierzy się, że uciekli oni z kopalń lub sekretnych regionów górskich. Ich domy są ukryte przed ludzkim wzrokiem. Jeśli się ich spotka, zarówno w kopalniach jak i w górach, to na pewno oddalili się oni od swych siedlisk, które są tak samo duchowe jak oni sami. Istnieje co najmniej jedna opowieść mówiąca o ujawnieniu przed wzrokiem ludzkim tego sekretnego regionu. Znalazłem ją w zajmującej książce (o której jeszcze trochę powiem), wydrukowanej w Newport, w Monmouthshire w 1813 [„Relacja o duchach i widmach w kraju Monmouth i na terytorium Walii” autorstwa Edmunda Jones z Tranch. (Newport, 1813)]. Mówi ona, że pewien William Evans z Hafodafel podczas przeprawy przez góry Beacon bardzo wczesnym rankiem przeszedł koło elfiej kopalni węgla, w której właśnie te stworzenia pracowały. Niektóre cięły węgiel, inne przenosiły go i napełniały worki, inne zarzucały ładunek na grzbiety koni i tak dalej. Wszystko to działo się w kompletnej ciszy. Mężczyzna pomyślał: „to cudowna, nadnaturalna rzecz” i bardzo mu to zaimponowało, bowiem dobrze wiedział, że w tamtym miejscu nie było żadnej kopalni węgla. Był on osobą zawsze prawdomówną, a co więcej „wspaniałą człowiekiem na świecie - będącym ponad mówieniem nieprawdy.”

Ten sam kronikarz podaje, że Coblynau czasem oddalały się od swych domów, ale przy tych okazjach szukały one po prostu odpoczynku. Egbert Williams, „pobożny młody dżentelmen z Denbigshire, wtedy chodzący do szkoły”, pewnego razu bawił się w polu zwanym Cae Caled, w regionie Bodfari, z trzema dziewczynami, a jedna z nich była jego siostrą. W pobliżu przełazu przy domu Lanelwyd spostrzegli oni grupkę piętnastu

czy szesnastu coblynau zajętych dzikim tańcem. Byli oni pośrodku pola, około siedemdziesiąt jardów od patrzących, i tańczyli w sposób trochę zbliżony do tancerzy morris⁷, choć w ich ruchach znać było dzikość i szybkość. Ubrani byli w czerwień jak żołnierze brytyjscy, nosili na głowach czerwone chusteczki naznaczone żółtymi plamami. A ciekawą sprawą było to, że chociaż byli oni prawie tak wysocy jak ludzie, to mieli bez wątpienia wygląd krasnoludów, tak że nie dało się ich nazwać inaczej niż w ten sposób. Nagle jeden z nich oderwał się od grupy i podbiegł w stronę ludzi przy przełazie, którzy się tam stłoczyli i próbowali za wszelką cenę przejść na drugą stronę. Pierwsza przeszła Barbara Jones, potem jej siostra, a gdy Egbert Williams pomagał swojej siostrze, ujrzeni coblyn całkiem z bliska, a ledwie przeszli na drugą stronę gdy jego zarośnięta ręka dotknęła przełazu. Stał tak opierając się o niego, spoglądając za odbiegającymi ludźmi z poważnym obliczem koloru miedzi i groźnym spojrzeniem. Młodzi ludzie pobiegli do domu Lanelwyd i zawołali starszych, ale chociaż wszyscy pospieszyli na pole, to krasnoludy zdążyły już zniknąć.

X.

Odpowiedniki Coblynau znajduje się we wszystkich krajach, gdzie istnieją kopalnie. W Niemczech Witchlein (mali ludzie) to małe, stare stworzenia o długich brodach, mierzące trzy czwarte łokcia, które nawiedzają kopalnie na południu kraju. Czesi nazywają Wotchlein imieniem Haus-schmiedlein, małych kowali gospodarczych, ponieważ czynią one czasem taki hałas jakby pracowały przy kowadle. Nie są one tak popularne w Walii, ponieważ ich pojawienie zwiastuje nieszczęście lub śmierć. Ogłaszają one śmierć górnikowi poprzez trzykrotne stuknięcie, zaś jeśli ma go dotknąć jakieś mniejsze zło, to da się słyszeć, jak te stworzenia kopią, uderzają kilofami i imitują wszystkie inne rodzaje pracy. W Niemczech również koboldy sprawiają wiele kłopotów górnikom, ponieważ sprawia im przyjemność denerwowanie ludzi oraz niweczenie ich wysiłków. Czasem są po prostu złe, szczególnie jeśli się zaprzeczy ich istnieniu albo się je obrazi, ale są również dobrodusze dla tych osobników, których biorą pod swą opiekę. Dlatego też jeśli górnik natrafił na bogatą żyłę rudy, to ogólnie przyjmowano, że nie posiadał on więcej umiejętności, zaradności czy choćby szczęścia, niż jego koledzy, ale że to duszki mieszkające w kopalni doprowadziły go do skarbu. [„Demonologia i więdźmy”. Scott. 121]

Intymna więź między elfami kopalnianymi a całą rasą krasnoludów jest wyraźnie widoczna w całej elfiej mitologii, tak samo uniwersalna jest więź krasnoludów z górami. W przedmowie do Heldenbuch czytamy: „Bóg stworzył krasnoludy, ponieważ krainy górskie były niezagospodarowane i opuszczone, i ponieważ drzemało w górach ciągle wiele srebra, złota, drogich kamieni oraz pereł.” Od najstarszych czasów aż do dnia dzisiejszego i nowego świata Ameryki

tradycje wciąż są takie same. Stare wierzenia Nordów, które ustanowiły krasnoludy jako siłę napędową północnych sag znajdują odzwierciedlenie w górach Catskill, gdzie pośród grzmotów piorunów słyszeć krasnoludy Hendrika Hudsona grające na harmonijkach.

XI.

Bwbach, albo Boobach to goblin o dobrej naturze, który robi dobre uczynki dla pracowitej walijskiej dziewczki, która może sobie zaskarbić jego przychylność dzięki odpowiedniemu zachowaniu zalecanemu przez długą tradycję. Po wymyciu kuchni dziewczka na koniec dnia rozpala silny ogień, po czym stawia maselnicę pełną śmietany na wybielonym palenisku, a na półce przy kominku zostawia dla Bwbach miskę świeżej śmietany, po czym idzie do łóżka czekając na rozwój wydarzeń. O poranku okazuje się (jeśli kobieta ma szczęście), że Bwbach opróżnił miskę ze śmietaną i tak sprawnie pracował przy maselnicy, że dziewczka musi teraz już włożyć tylko trochę pracy, by masło zastygło w kostkę. Tak jak Ellyll, które tak bardzo przypomina, Bwbach nie lubi odszczepieńców i ich sposobu życia, a szczególną niechęcią darzy całkowitych abstynentów.

Był sobie pewien Bwbach należący do gospodarstwa w Cardiganshire, który został obrażony przez kaznodzieję baptystów będącego gościem w domu, któremu prędkiej było do modlitwy, niż do dobrego napitku. Bwbach darzył sympatią ludzi, którzy siadali przy palenisku z kuflami cwrw da i swymi fajkami, dlatego też zaczął dokuczać księdzu. Pewnego wieczoru wytrącił on stołek spod łokci mężczyzny gdy ten klękał do modlitwy, tak że ten padł twarzą na ziemię. Innym razem przeszkadzał on w modlitwach dzwonieniem rusztu na palenisku i ciągłym prowokowaniem psów do szczekania, strasząc chłopca mieszkającego na farmie poprzez strojenie do niego min przez szybę domostwa, czy też doprowadzając dziewczkę do drgawek. W końcu nabrał takiej pewności siebie, że zaatakował człowieka, gdy ten szedł przez pole uprawne. Kapłan w taki sposób opowiedział o tym wydarzeniu:

- Byłem zajęty czytaniem ustępów ze swej księgi z pieśniami gdy szedłem do domu, kiedy nagle spadł na mnie strach, a nogi zaczęły drzeć. Padł na mnie od tyłu czyjś cień, a gdy się obejrzałem, zobaczyłem siebie samego! To byłem ja, moja osoba, mój strój i nawet ta sama księga. Spojrzałem mu na chwilę w oczy, po czym padłem bez czucia na ziemię.

Nieprzytomnego mężczyznę odnaleziono w tamtym miejscu. To spotkanie to było zbyt wiele dla dobrotliwego człowieka, który uznał to za ostrzeżenie, że ma opuścić ten region. Dlatego też dosiadł konia i następnego dnia wyruszył w drogę. Pewien chłopak z sąsiedztwa, bardzo prawdomówny, powiedział, że widział jak Bwbach wskakuje na koń i usadawia się za kaznodzieją na koniu. Koń ruszył z kopyta jak błyskawica, w oczach miał szaleństwo, a mężczyzna oglądając się za siebie zobaczył uśmiechniętego od ucha do ucha Bwbach.

XII.

To samo zamieszanie w podaniach, które istnieje względem naszych własnych chochlików i hobgoblinów⁸, nadaje podwójnego charakteru Bwbach jako elfowi z gospodarstw domowych oraz przerażającemu duchowi. W obu aspektach jest on śmieszny, ale w tym drugim staje się również niebezpieczny. Dostać się w jego szpony w pewnych sytuacjach to nic przyjemnego, ponieważ ma on moc wyrzucać ludzi w powietrze. Jego usługi cenią sobie niepokojone duchy, które nie mogą spać ze względu na ukryty skarb, który powinien zostać usunięty. Jeśli tej rzeczy da się dokonać przy użyciu śmiertelników, wtedy zatrudniają oni Bwbach, aby przeniósł w to miejsce człowieka.

Ta śmieszna historia jest we Francji przedstawiona na gobelinie. Matki straszyły nim niegrzeczne dzieci. „Le gobelin vous mangera, le gobelin vous emportera.” [„Etymologia”, Père l'Abbé. 262] W angielskim słowie hobgoblin znajdujemy bez wątpienia słowo pochodzące od walijskiego hob, skakać, i coblyn, czyli goblin, co przywołuje w pamięci obraz skaczącego goblina i sugeruje, że Pwca (z którym również często myli się Bwbach w popularnym ujęciu), a które powinny oznaczać po prostu goblina z przypiecka, czyli elf z gospodarstw domowych. W swoim aspekcie zmory Bwbach, tak jak angielski chochlik, uważany jest za tożsamego słowiańskiemu „bog”⁹ i „baga”¹⁰ z pisma klinowego, a nazwy obu stanowią imiona nadnaturalnego bytu, tak przynajmniej twierdzi profesor Fiske. „Starożytna forma tych określeń pochodzi od staroaryjskiego „Bhaga”, które pojawia się w niezmienionej formie w sanskrycie Wed, i pozostawiło po sobie ślad w nazwisku frygijskiego Zeusa „Bagaios.” Wydaje się, że najpierw oznaczało

ono nieprzesłonięte chmurami słońce, albo też niebo w południe oświetlone promieniami słońca.

W ten oto sposób imię oznaczające dla wedyckiego poety z czasów perskiego Kserksesa i współczesnego Rosjanina najwyższy majestat lub boskość, w angielskim kojarzone jest z brzydkim, śmiesznym stworzeniem, blisko spokrewnionym z groteskowym Północnym Diabłem, o którym Southey nie był w stanie pomyśleć bez śmiechu.” [„Mity i ich twórcy”, Fiske. 105]

ROZDZIAŁ III

ELFY ZNAD JEZIOR

Gwragedd Annwn, albo Damy z Elfiej Krainy - Święty Patryk i Walińczycy; Legenda jeziora Crumlyn - Elfia krowa z Lyn Barfog - Y Fuwch Laethwen Lefrith - Legenda o Meddygon Myddfai - Żona nadnaturalnej rasy - Trzy uderzenia. Legenda Carmathenshire - Ser i cel dydaktyczny w folklorze walijskim - Ojczulek elfiej dziewczyny - Zaczarowana wyspa na górskim jeziorze - Legenda o ludziach z Ardudway - Pochodzenie wodnych elfów - Ich obecność w wielu krainach.

I.

Gwragedd Annwn (dosłownie żony niższych krain, piekła) to elfie damy mieszkające pod wodą. Nic w tych walijskich elfach nie przypomina mi naszych znajomych syren, może poza domem pod wodą no i czasem poza sposobami wygrywania. Gwragedd Annwn nie przypominają z wyglądu ryb ani nie mieszkają w morzach. Nawiedzają rzeki i jeziora, a w szczególności dzikie i opuszczone jeziora wysoko w górach. Te romantyczne postacie otoczone są niezliczonymi przesadami, o których powiem później. Wśród elfów służą one za łączników pomiędzy tym światem a tym poniżej, annwn, mroczną domeną zarządzaną przez Gwyn ap Nudd, króla elfów. Ten położony pod powierzchnią wody świat jest zamieszkały przez te dzieci tajemnicy zwane Plant Annwn, a wśród mieszkańców górskich regionów Walii ciągle silna jest wiara, że Gwragedd Annwn co jakiś czas odwiedzają nasz świat [„Archaeologia Cambrensis”, wykład 2-gi, IV., 253] Jedyne nawiązanie do walijskich syren o którym czytałem albo słyszałem zawarte jest w opisie bitwy pod Agincourt Draytona. Jest tam nadmienione, pośród opisu siły zbrojnej hrabstw walijskich:

Gdy Cardigan, kolejny z tych, którzy poszli,
Spotkał syrenę siedzącą na skale

[W „Cymry Fu” jest historia syreny, ale ta syrena jest zapewne współczesnym upiększeniem prawdziwego przebiegu wydarzeń, a przez to nie przedstawia tutaj żadnej wartości.]

II.

Leżące w pobliżu sennej osady Briton Ferry jezioro Crumlyn jest jednym z wielu siedlisk elfich dam w Walii. Wierzy się również, że na jego dnie spoczywa zatopione miasto, i że Gwragedd Annwn odwróciły zatopione mury, by wykorzystać je jako nadbudówki swych czarodziejskich pałaców. Niektórzy twierdzą, że widzieli wieże pięknych zamków wznoszących swe blanki pod powierzchnią ciemnych wód, a czasem można usłyszeć dźwięk znajdujących się na tych wieżach czarodziejskich dzwonów. Oto jak elfie damy zaczęły tam mieszkać:

Dawno, oj bardzo dawno temu z Irlandii przybył św. Patryk z odwiedzinami do św. Dawida z Walii, po prostu by powiedzieć „Sut yr y'ch chwi?” („Jak ci się powodzi?”). Podczas spaceru brzegiem jeziora i rozmowy na tematy religijne, jacyś ludzie rozpoznali św. Patryka, a ponieważ byli na niego źli, że opuścił Cambrię dla Erin, zaczęli go obrażać po walijsku, w jego ojczystej mowie. Oczywiście taka obraza nie mogła przejść nieukarana, dlatego też św. Patryk sprawił, że jego ciemiężcy zostali zamienieni w ryby, ale ponieważ część z nich to były kobiety, zostały one zamienione w elfy. Mówi się również, że słońce, będąc świadkiem takiej obrazy świętego, nigdy już nie pozwoliło swoim promieniom paść na mroczne wody tego malowniczego jeziora oprócz jednego tygodnia w roku. Ta legenda i te detale dotyczące magii przewijają się w historiach wielu innych jezior, pośród nich Llyn Barfog w pobliżu Averdovey, miasta, którego „dzwonki” zostały upamiętnione w nieśmiertelnej pieśni.

III.

Llyn Barfog jest sceną sławnego zejścia elfiej krowy na ziemię z tłumów Gwragedd Annwn. Oto legenda o tym skąd w Walii wzięło się czarne bydło, tak przedstawiono mi ją w Carmarthenshire: W dawnych czasach była sobie grupa elfich dam, które nawiedzały rejony w sąsiedztwie Llyn Barfog, jeziora pośród wzgórz tuż przy Aberdovey. Było ich zwyczajem pojawiać się o zmierzchu, całe obleczone w zieleń, w towarzystwie swych mlecznobiałych ogarów. Oprócz ogarów, zielone panie z Llyn Barfog, miały w swym posiadaniu wiele mlecznobiałego bydła zwanego Gwartheg y Llyn lub bydłem z jeziora. Jednego razu pewien stary farmer mieszkający blisko Dyssyrnant, miał szczęście złapać jedną z tych mistycznych krów, która zakochała się w jednym z jego byków. Od tego dnia farmerowi bardzo się powodziło. Takich cielaków, takiego mleka, takiego masła i sera, jakie pochodziło od mlecznobiałej krowy, nigdy wcześniej nie widziano w całej Walii, i pewnie już nigdy ich nie będzie dane uświadczyc. Sława Fuwch Gyfeiliorn (tak bowiem nazwano krowę) rozeszła się szeroko po całym kraju. Farmer, wcześniej biedak, nagle stał się bogaczem, posiadał liczne stada, tak jak patriarchowie ze starych lat. Ale pewnego dnia wbił sobie do głowy, że elficka krowa się starzeje, i że lepiej będzie, jeśli ją utuczy na targ. Jego nikczemny plan udał się wspaniale. Nigdy wcześniej od czasu wymyślenia steków nie widziano tak wielkiej krowy. Nadszedł dzień zabicia, zewsząd przybyli ludzie zobaczyć koniec tej ogromnej bestii. Farmer już podliczył zyski ze sprzedaży, a rzeźnik obnażył swe ramię. Krowę uwiązano nie zważając na jej smutne muczenie i błagające oczy, rzeźnik uniósł obuch i uderzył dokładnie między oczy, a wtedy nagle rozległ się krzyk, który obudził echo pośród wzgórz, podczas gdy obuch rzeźnika przeszedł przez

magiczną głowę elfiej krowy i powalił dziewięcioro ludzi stojących w pobliżu. Sam rzeźnik zaczął się kręcić wokół własnej osi, próbując równocześnie złapać się czegoś nieruchomego. Wtedy zaskoczone zgromadzenie spostrzegło na skale nad jeziorem zieloną damę, która wielkim głosem zawołała:

Dere di felen Emion,
Cyrn Cyfeiliorn-braith y Llyn,
A'r foci Dodin,
Codwch, dewch adre.

Chodź żółte Kowadło, zabłąkane rogi
Łaciata z jeziora
I bezrogiego Dodlina
Powstań, czas do domu.

Na te słowa nie dość że elfia krowa powstała i udała się do domu, ale wraz z nią odeszła cała jej progenitura do trzeciego i czwartego pokolenia wstecz, rozplywając się w powietrzu na szczytach wzgórz by już nigdy nie powrócić. Widząc to farmer z rozpaczy rzucił się do jeziora i utopił się, a czarna krowa stała się matką wszystkich czarnych krów z Walii.

Ta legenda wydaje się trochę różnić od tej z „Iola MSS”, przetłumaczonej przez Taliesina Williamsa z Merthyr: [Llandovery, opublikowane dla walijskiego towarzystwa MSS, 1848.] „mlecznobiała krowa dawała tyle mleka, że starczyło dla każdego, nieważne jak często się ją doiło, czy też ile osób to robiło, mleka nigdy nie brakowało. Każdy, kto pił jej mleko, został wyleczony ze swych chorób, a głupcy stawali się mądrzy. Ci źli stawali się szczęśliwi. Ta krowa przemierzała świat, a gdziekolwiek się pojawiła, napełniała swym mlekiem wszystkie naczynia, jakie tylko udało się znaleźć, zostawiając za sobą, dla mądrych i szczęśliwych, cielaki. To od niej wzięły się wszystkie krowy mleczne na świecie. Po przemierzeniu Brytanii dla dobra i błogosławieństwa kraju i wszystkich rodzin dotarła ona do Doliny Towy. Mieszkańcy tego regionu, widząc jej piękno i

wspaniałą kondycję, zapragnęli ją zabić i zjeść, ale gdy tylko spróbowali przemienić zamiary w czyny, ta zniknęła im przed oczu i już nigdy więcej jej nie widziano. W tamtym miejscu wciąż stoi dom zwany Y Fuwch Laethwen Lefrith (Dom Mlecznobiałej Krowy Mlecznej).

IV.

Legenda o Meddygon Myddfai ponownie zwraca naszą uwagę na elfie bydło, ale łączy je z kolejnym, niezwykle nas interesującym przesądem, a mianowicie z tym o żonie nadnaturalnej rasy. Kolejna sprawa to nazwa. Meddygon oznacza lekarza, a legenda mówi o tym skąd się wzięli pewni doktorzy, szeroko znani w trzynastym wieku. Legenda mówi, że pewien farmer w regonie zwanym Myddfai, leżącym w Carmarthenshire, po zakupieniu kilku jagniąt na pobliskim jarmarku, poprowadził je na pastwisko w pobliżu Llyn y Fan Fach, w Góry Czarne. Zawsze gdy przychodził do jagniąt, pokazywały mu się trzy piękne damy z jeziora, na brzegach którego urządzały sobie częste wycieczki. Czasem podążał za nimi i próbował je złapać, ale nigdy mu się to nie udawało. Czarujące nimfy uciekały przed nim, a dobiegłszy do jeziora wołały za nim tymi słowy:

Cras dy fara,
Anhawdd ein dala

Co przetłumaczone dosłownie znaczy:

Piecz swój chleb
Bo trudno będzie nas złapać

A co bardziej poetycko potraktowane brzmi:

Śmiertelniku, który chleb spożywasz,
Nie dla ciebie jest elfie łoże!

Pewnego dnia z jeziora na brzeg wyrzucony został wilgotny chleb. Farmer porwał go w swoje ręce i pochłoniął go żarłocznie.

Następnego dnia ku jego ucieście poszczęściło mu się w pogoni, złapał nimfy na brzegu. Po długiej rozmowie zebrał się na odwagę i poprosił jedną z nich o rękę. Zgodziła się na jego propozycję pod warunkiem, że następnego dnia odróżni ją od jej sióstr. To był nowy, wielki problem dla farmera, ponieważ damy były do siebie tak podobne z wyglądu i kształtów, że ledwie widział różnice między nimi. Zauważył on jednak drobną, charakterystyczną różnicę w ułożeniu pasków na sandałach wybranki, dzięki czemu bez problemu rozpoznał ją następnego dnia. Gwraig dotrzymała słowa, natychmiast opuściła jezioro i udała się z nim na farmę. Zanim jednak je opuściła, przyzwała stamtąd siedem krów, dwa osły i byka. Stwierdziła przy tym, że zostanie z nim dopóty, dopóki nie uderzy on jej trzykrotnie bez powodu. Mieszkali spokojnie razem przez wiele lat, a ona urodziła mu trzech synów, sławnych Meddygon Myddfai. Pewnego dnia podczas przygotowań do jarmarku farmer chciał, aby poszła ona do stajni po konie. Odparła, że to robi, ale ponieważ nie bardzo się jej spieszyło, farmer zawołał za nią żartobliwie „dos, dos dos”, co znaczy „biegnij, biegnij, biegnij”, lekko uderzając przy tym jej ramię swą rękawicą.

Ciosy nie były mocne, ale jednak były to ciosy. Warunek małżeństwa został złamany, a dama odeszła, zabierając ze sobą siedem krów, dwa osły i byka. Osły akurat orały pole, ale natychmiast jej posłuchały i zaciągnęły pług do jeziora. Bruzda z pola, które orały do brzegu jeziora jest widoczna po dziś dzień w kilku miejscach w kraju. Po odejściu gwraig annwn jeszcze raz spotkała się ze jej trzema synami w dolinie zwanej obecnie Cwm Meddygon, gdzie dała im magiczne pudełko zawierające leki o wielkiej mocy, dzięki którym stali się oni znani. Ich imiona brzmiały Cadogan, Gruffydd i Emion, a farmerowi na imię było Rhiwallon. On i jego synowie byli lekarzami na dworze Rhys Gryg, Lorda Dynevor, syna ostatniego księcia Walii. Żyli oni około roku 1230, a przed śmiercią spisali kompendium swojej wiedzy o medycynie. „Kopia ich pracy

spoczywa w Walijskiej Bibliotece Szkolnej przy ulicy Gray's Inn.” [„Cambro Briton”, ii., 315”]

V.

Lepiej ujęta i obszerniejsza w szczegóły forma tej legendy całkowicie pomija fakty związane z medycyną, ale dodaje za to wiele elementów tak charakterystycznych dla Walii, że nie mogę się powstrzymać od ich zaprezentowania. Wersja ta mówi, że rozkochany farmer usłyszał o dziewczynie z jeziora, która tam pływała w złotej łodzi poruszanej złotym wiosłem. Jej włosy były długie i złociste, a jej twarz blada i melancholijna. Pragnąc zobaczyć tę piękność, farmer udał się na brzeg jeziora w sylwestra¹¹, gdzie w ciszy czekał na wybicie pierwszej godziny nowego roku. Ta godzina przyszła, a na jeziorze rzeczywiście pojawiła się ta dziewczyna z swej złotej łodzi, powoli wiosłując tu i tam. Zafascynowany mężczyzna stał przez wiele godzin podziwiając jej urodę, aż w końcu z nieba zniknęły gwiazdy, księżyc zaszedł gdzieś za skałami, a mrok nocy ustąpił zimnej szarości poranka, zaś uroczą gwraig zaczęła niknąć mu z oczu. Oszalały z pożądania, na myśl o straceniu jej zawołał za znikającą postacią „Zostań, zostań! Bądź mą żoną!”, lecz gwraig wydała tylko słaby okrzyk i zniknęła.

Noc w noc młody farmer przychodził nad jezioro, ale elfka już się nie pokazała. Mężczyzna przestał interesować się samym sobą, jego niegdyś potężna sylwetka stała się chuda i wątła, a na jego twarzy rysowały się melancholia i żal. Pewnego razu udał się do wróżbity mieszkającego w górach, a ten polecił mu skusić serce wybranki darami z chleba i sera. Ta rada przypadła mu do gustu, bowiem była w zgodzie z jego walijskim sposobem myślenia, dlatego też farmer począł gorliwie i wytrwale wrzucać do jeziora swój chleb, a po nim ser. Zaczął w noc przesilenia letniego, wrzucając doń duży kawałek sera i bochenek chleba. Noc w noc składał dary z chleba i sera, ale nie

było żadnej odpowiedzi na te ofiary. Jego nadzieje wiązały się jednak z nadchodzącym sylwestrem. W końcu nadeszła długo oczekiwana noc. Młodzieniec ubrał się w najlepszy strój, zabrał ze sobą siedem bochenków chleba i największy kawałek sera, jaki mógł znaleźć, po czym ponownie wyruszył nad jezioro.

Czekał tam do północy, kiedy to powoli i pieczołowicie wrzucił do wody siedem bochenków, po czym z westchnieniem posłał za nimi ser. Jego upór został wreszcie nagrodzony. Pojawiła się magiczna łódź wiosłowa, gwraig podpłynęła nią do miejsca gdzie stał młodzieniec, wyszła na brzeg i zaakceptowała go jako swego męża. Wspomniany już wcześniej warunek dotyczący bicia został wymieniony, a ona zabrała ze sobą swe zwierzęta. Pewnego dnia, gdy mieli już za sobą cztery lata małżeństwa, zaproszono ich na chrzciny. W pewnym momencie podczas ceremonii gwraig zalała się łzami. Jej mąż spojrzał na nią rozgniewany i zapytał czemu robi z siebie pośmiewisko. Ta odpowiedziała:

- Biedne dziecko wkracza właśnie w świat cierpień i grzechu. Leży żałośnie przed nim. Dlaczego miałabym się cieszyć?

Ten odepchnął ją rozdrażniony, ona zaś ostrzegła go, że uderzył ją właśnie pierwszy raz. Po jakimś czasie poproszono ich o przybycie na pogrzeb tego samego dziecka, na którego chrzcinach byli wcześniej. Tym razem gwraig śmiała się wesoło, śpiewała i tańczyła wkoło. Jej mąż ponownie się rozgniewał i spytał czemu robi z siebie pośmiewisko. Ona odparła:

- Biedne dziecko uciekło przed bólem, który miał być jego udziałem i odeszło, aby być szczęśliwym i dobrym na wieki. Czemuż mam się smucić?

Farmer ponownie odepchnął ją od siebie, a ona znów go ostrzegła, że uderzył ją drugi raz. Wkrótce zaproszono ich na ślub. Panna młoda była młoda i piękna, zaś pan młody stary i rozlazły, pozbawiony zębów, a przy tym słaby. W trakcie ślubu gwraig wybuchła łzami, a na pytanie męża czemu znów wystawia się na pośmiewisko, stwierdziła:

- Prawda jest taka, że panna bierze ślub ze starością z chciwości, a nie z miłości. Przecież lato i zima nie mogą

współistnieć. To jak umowa z diabłem.

Rozgniewany mąż odepchnął ją od siebie po raz trzeci i ostatni. Spojrzała na niego z miłością i żalem, po czym oznajmiła, że trzy ciosy zostały zadane, a zatem ona musi odejść. Nigdy już jej nie zobaczył, ani zwierząt, które sprowadziła ze sobą jako swoje wiano.

Używając mitu do nauczania w kazaniu, i dzięki wprowadzeniu doń sera, ta wersja legendy jest rzeczywiście bardzo „walijska” z charakteru. To jak często ser występuje w folklorze Cambrii jest zaskakujące. Ser można znaleźć w każdego rodzaju sytuacjach związanych z elfami. Można nawet natknąć się na ser w *Mabinogion*, zaraz przy najbardziej romantycznych postaciach w tej historii. A tutaj ponownie widać rozległą wiedzę Shakespeare'a na temat goblinów z Cambrii. „Niebiosa brońcie mnie przed tym walijskim elfem!”, mówi Falstaff, „żeby nie przemienił mnie on w kawałek sera: [„Wesołe damy z Windsoru”, akt V, scena 5] Chleb również często występuje w folklorze każdego kraju, szczególnie jako ofiara dla bożków wodnych, ale z tego co wiem, to tylko w Cambrii w tym celu używa się sera.

VI.

Legenda ta pojawia się ponownie, tym razem, tym razem z pewnym elementem, którego nie znalazłem nigdzie indziej w świecie elfów, a mianowicie mówi o ojcu pewnej elfiej damy. Syn farmera z farmy Drws Coed pewnego mglistego dnia doglądał owiec ojca, gdy przechodząc przez pewną podmokłą łąkę dostrzegł niską kobietę pośród pagórków. Miała złote włosy, niebieskie oczy i różane policzki. Podeszedł do niej, poprosił o pozwolenie na rozmowę, na co ona mu odparła „Idolu mej nadziei, wreszcie przybyłeś!” Po tym wydarzeniu zaczęli „dotrzymywać sobie towarzystwa”, spotykać się codziennie tu i tam na łąkach przy farmie. Jego intencje były czyste, pragnął ją poślubić. Nie raz znikał na całe dnie, nikt nie wiedział gdzie, a jego przyjaciele szeptali między sobą, że został zauroczony. Dookoła Trawiastego Jeziora (Llyn y Dywarchen) rosła kępa drzew, a pod jednym z nich elfka obiecała mu, że będzie jego. Potrzeba teraz było zgody jej ojca. Pewnej księżycowej nocy wyznaczono spotkanie w tym lasku. Ojciec z córką nie zjawili się, dopóki księżyc nie skrył się za wzgórzem. Wtedy przyszli oboje. Elfi ojciec natychmiast wyraził zgodę na ślub, ale postawił jeden warunek, jej przyszły mąż miał jej nigdy nie uderzyć żelazem. „Jeśli kiedykolwiek dotkniesz jej ciała żelazem, to nie będzie ona już twoją, lecz wróci między swoich.” Pobrali się i byli piękną parą. W nocy przed ślubem elfka przyniosła ze sobą bardzo dużo pieniędzy do Dnvs Coed. Młody pasterz stał się zamożny, miał kilku urodziwych synów i wszyscy byli szczęśliwi. Po kilku latach podczas przejażdżki jej koń wpadł w bagno, a podczas pospiesznie udzielanej pomocy przy zsiadaniu z niego elfkę uderzyło w kolano strzemień przy siodle. Natychmiast rozległy się głosy ze zbocza wzgórza, a ona zniknęła, pozostawiając za sobą swe dzieci. Wraz z matką

wymyśliły sposób, dzięki któremu mogła ona widywać swego ukochanego, ale ponieważ nie mogła chodzić już po ziemi ze śmiertelnikiem, to unosili się oboje na dużym kawałku murawy na jeziorze. Stali tak często przez wiele godzin i prowadzili ze sobą rozmowy. Trwało to do jego śmierci [„Cymru Fu”, 476]

VII.

W kolejnej legendzie ponownie pojawia się cel dydaktyczny, który, niewiele się różniąc we frazeologii, istnieje też w wielu innych regionach leżących w pobliżu górskich jezior. Za dawnych czasów, kiedy jeszcze Cymry pogodzili się ze swymi saksońskimi przeciwnikami, każdego poranka nowego roku znajdowano otwarte drzwi w litej skale przy jeziorze. Ci śmiertelnicy, którzy mieli odwagę i byli na tyle ciekawi, by przez nie przejść, dochodzili ukrytym przejściem do małej wyspy na środku jeziora. Tam znajdowali ogród godny najwyższych zachwyków, a w nim najwyborniejsze owoce i kwiaty, zamieszkany przez Gwagedd Annwn, których piękno mogło się równać tylko ich gościnności i uprzejmości dla tych, którzy się i podobali. Zbierały one dla każdego gościa owoce i kwiaty, zabawiały ich najpiękniejszą muzyką, wyjawiały im wiele sekretów przyszłości i zapraszały, by zostali tak długo, jak tylko będzie się im podobało.

- Ale - mówiły. - Wyspa ta jest tajemnicą, i nic, co tu się dzieje, nie może się wydać.

Jeśli słuchano tego ostrzeżenia, wszystko układało się dobrze. Jednak pewnego dnia pośród gości pojawił się pewien zły Walijczyk, który pragnąc uzyskać jakąś magiczną rzecz z tego miejsca, schował do kieszeni sprezentowany mu kwiat. Już miał opuścić ogród ze swą zdobyczą, gdy kradzież nie wyszła mu na dobre. Gdy tylko dotknął niepoświęconej ziemi kwiat zniknął, a on utracił przytomność. Gwagedd Annwn udały, że nie widzą tego niecnego czynu. Odprawiły gości ze swą zwyczajną uprzejmością, a drzwi zamknęły się jak zwykle. Jednak ich żal był gorzki, bo chociaż bez wątpienia elfki i ich zaczarowany ogród są w tamtym miejscu po dziś dzień, to jednak drzwi prowadzące na ich wyspę nie zostały już nigdy otwarte.

VIII.

We wszystkich tych legendach student komparatystyki folkloru jest w stanie wyśledzić starożytną mitologię, na którą nałożyło się jednak wiele późniejszych elementów. Dziewczyny z wód bez wątpienia były najpierw chmurami płynącymi po niebie, albo mgłą z gór. Stąd też wzięły się pewne ciekawe i urojone postacie, w które obfituje folklor indoeuropejski, spośród których najpopularniejsze są Undyna, Meluzyna, Nauzykaa i klasyczna Muza. W Walii, tak samo jak w innych krajach, mit ten przybrał wiele form. Rozproszenie mrocznych chmur nad górami przez promienie wschodzącego słońca lub poranną bryzę ma miejsce w *Legendzie o Ludziach z Ardudwy*. Dokonują oni rajdu na dziewczyny z doliny Clwyd, po czym ruszają za nimi w pogoń ojcowie i bracia dziewcząt, dopadają i mordują. Po tym wydarzeniu dziewczyny rzucają się głową w dół do jeziora, które od tego czasu nazywane jest Jeziolem Dziewcząt, lub Llyn y Morwynion. W innej legendzie mgła nad rzeką Cynwal jest duchem zdrajczyni, która zginęła dawno temu w jeziorze. Weszła ona w konszachty z piratami z północy, aby ograbić władcę Cambrii z jego włości. Została pokonana z pomocą potężnego czarownika (słońca), uciekła w górę rzeki wraz ze swymi dziewczynami, a tam na jeziorze wszystkie zostały utopione. [„Arch. Camb.” 4-ty wykład, VII., 251]

IX.

Ponieważ przesąd o syrenach najwyraźniej nie istnieje w Walii, brakuje tu opowieści o dziewczętach, które wabią śmiertelników na ich zgubę w odmętach wód, tak jak to czyniła Dracae kobietom i dzieciom, a Nimfa z Lurley mężczyznom. Wierzy się jednak, że niektóre stare rody walijskie pochodzą od Gwagedd Annw, tak jak to miało miejsce w wypadku Meddygon Myddfai. Popularne walijskie imię Morgan według niektórych oznacza „Zrodzony z morza.” Z całą pewnością po walijsku môr oznacza morze, a gân narodziny. Ciekawostką jest również, że pewna syrena w Basse Bretagne jest nazywana „Mary Morgan.” Jednakże grupa opowieści, w których śmiertelnik bierze za żonę elfkę z wód jest całkiem duża, a chociaż lokalne wersje różnią się szczegółami, to jednak ogólny zarys jest tak podobny w regionach bardzo oddalonych od siebie, że wskazuje to na wspólne pochodzenie z czasów prehistorycznych. W Walii, gdzie wiele jest ponurych, opuszczonych, a jednak ciekawych jezior górskich, gdzie wiele z nich nosi ślady zamieszkania przez starożytną rasę mieszkańców jezior, których wioski wsparte na palach zniknęły wieki temu, a gdzie chleb i ser są tak klasyczne jak piwo i świece, cechy te znajdują odbicie w legendach. Na wyspach Faro, gdzie foka jest znajomym, a jednak wiecznie tajemniczym widokiem o oczach podobnych do ludzkich i błyszczącej skórze, żona nadnaturalnej rasy przemieniana jest właśnie w to zwierzę. Wychodzi ona na brzeg co dziewiątą noc, zrzuca skórę, pozostawia ją na brzegu i tańczy ze swymi elfimi towarzyszami. Jakiś śmiertelnik kradnie jej foczą skórę, a gdy rozpoczyna się nowy dzień, a jej towarzysze wracają do swych podwodnych siedlisk, ona zmuszona jest stać się żoną tego człowieka. Pewnego dnia obraża ją, ta odzyskuje swą skórę i rzuca się do

morza. W Chinach przesąd ten przewija się w legendzie Lewchewam wspomnianej przez dr Dennysa [Folklor Chin,” 99], która opowiada jak to elfka pod postacią pięknej kobiety znajdowana jest podczas kąpieli w studni przez człowieka. Ten nakłania ją do ślubu, a ona zostaje z nim na dziewięć lat, po którym to czasie mimo miłości żywionej dla swych dzieci, „odpływa w chmury” i znika.

ROZDZIAŁ IV

ELFY GÓRSKIE

Gwyllion - Stara kobieta i góra - Czarna góra Gwyll -
Egzorcyzmy nożem - Magiczne moce intelektu walijskich kóz -
Legenda o kozie Cadwaladra.

I.

Gwyllion są elfami płci żeńskiej o odstraszających cechach, nawiedzają puste drogi w górach w Walii i zwodzą podróżników z obranego szlaku. Mają one nieco z aspektu Hekate z mitologii greckiej, która jeździła na burzy i była wiedźmą o odrażającym wyglądzie. Walijskie słowo gwyll ma wiele zastosowań oznaczających zazwyczaj ciemność, cień, mrok, wiedźmę, jędzę, elfkę lub goblina, ale jego specyficzne użycie odnosi się do tych sławnych elfów górskich o mrocznych i szkodliwych zwyczajach, co odróżnia je od Ellyllon z leśnych polan i dolinek, które zazwyczaj są bardziej pomocne. Gwyllion przybierają wyróżniającą się indywidualność pod innym imieniem - tak samo jak Ellyllon nazywane puck - a Kobieta z Gór reprezentuje je wszystkie. Została ona bardzo szczegółowo opisana przez proroka Jones'a w takiej postaci, w jakiej nawiedzała ona górę Lanhyddel w Monmouthshire. Miała ona jakoby być starą, biedną babiną noszącą prostokątny kapelusz, ubrania w kolorze popiołu, przerzucony przez ramię fartuch, w rękę trzymająca garnek albo drewniany pojemnik, taki, jaki noszą przy sobie biedacy by zdobyć dla siebie trochę mleka, zawsze idąca przed świadkiem wydarzenia i wykrzykująca „Wow up!” Jest angielska forma walijskiego okrzyku ostrzegawczego „Wwb!” albo „Ww-bwb!” [wymawiane łubłub]. Ci, którzy widzieli to zjawisko, czy to w nocy, czy też w mglisty dzień, mogli mieć pewność, że się zgubią, nawet jeśli doskonale znali drogę. Czasem słyszano okrzyk „Wow up!”, chociaż jej nie widziano. Czasem gdy wychodzono z domu na zewnątrz, by przynieść węgiel albo wodę, okrzyk zdawał się dochodzić raz z bardzo bliska, a raz z bardzo daleka, jakby zza góry, z regionu Aberystroth. Popularną tradycją w tamtej okolicy było, że Stara Kobieta z Gór była duchem Juana Białej,

która mieszkała nie wiadomo jak dawno temu w tej części kraju, a o której mówiło się, że uprawiała czary, ponieważ góry te nie były nawiedzone aż do czasu po jej śmierci. [„Juan (Shui) Białą była moją starą znajomą z dzieciństwa” - napisał do mnie przyjaciel urodzony trzydzieści lat temu w Monmouthshire. „Pewien zrujnowany dom na wzgórzu Lasgarn przy Pontypool był uważany przez nas chłopców za jej dom, gdzie pojawiała się równo o północy, niosąc pod pachą własną głowę”]. W pierwszym momencie gdy ludzie gubili drogę, próbowali podbiec do niej i złapać ją, uważając ją za normalną kobietę z krwi i kości, która mogłaby wskazać im dobrą drogę. Nigdy jednak nie udało im się jej dogonić, ona sama zaś nigdy się nie oglądała za siebie. Dlatego też nikt nigdy nie widział jej twarzy. Widziano ją również na Czarnej Górze w Breconshire. Robert Williams z Langattock w Crickhowel, „poważany człowiek o reputacji niezwykle prawdomównego” opowiada o tym, jak to podróżował pewnej nocy przez część Czarnej Góry, spostrzegł Starą Kobietę, a równocześnie zauważył, że się zgubił. Nie wiedząc, że jest ona duchem, zawołał za nią, aby na niego poczekała, ale nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi pomyślał, że jest głucha. Przyspieszył kroku mając nadzieję ją wyprzedzić, ale im szybciej biegł, tym dalej od niej się znajdował, co go bardzo zmartwiło, bo nie rozumiał jakim cudem tak się działo. W pewnym momencie odkrył, że wkroczył w bagno. Zmartwił się tym bardziej, a wtedy usłyszał śmiech Starej Kobiety, naśmiewającej się z niego dziwnym, niegodziwym, starczym głosem. To sprawiło, że zaczął się zastanawiać czy czasem nie ma przed sobą gwyll, a gdy wydobył z kieszeni nóż, a Stara Kobieta zniknęła, upewnił się w swym domyśle, bowiem walijskie duchy i elfy boją się noży.

II.

Inna opowieść mówi, że John ap John z Cwm Celyn wyruszył pewnego dnia przed świtaniem na jarmark do Caerleon. Gdy wchodził na górę Milfire, usłyszał za sobą okrzyki dochodzące jakby z Bryn Mawr będącego częścią Czarnej Góry z Breconshire. Wkrótce potem usłyszał okrzyki po swojej lewej stronie, dochodzące z Bwlch y Llwyn, bliżej niego, co napełniło go wielkim strachem. Zaczął podejrzewać, że ten głos nie należał do człowieka.

Zastanawiał się już co ktokolwiek mógłby robić o tej godzinie w górach, wykrzykując dziwne rzeczy. Ciągłe szedł przy tym przed siebie, wspinając się coraz wyżej, gdy nagle usłyszał okrzyk zaraz przed sobą, dochodzący z pól Gilfach na prawo od niego i był już pewien, że to głos Starej Kobiety z Góry, która chciała odwieść go od obranej drogi.

Nagle usłyszał odgłosy powozu za sobą, a wraz z nim ten specjalny okrzyk Starej Kobiety, „Wow up!” Wiedząc bardzo dobrze, że tamtą drogą nie miał jak przejechać żaden powóz, a ciągle słysząc odgłosy jakby takowy się do niego zbliżał, przeraził się nie na żarty, zbiegł z drogi, rzucił się na ziemię, schował twarz w trawę i tak czekał aż widziadło przetoczy się koło niego. Gdy już ucichły te odgłosy, słyszał jak ptaki śpiewają na rozpoczęcie nowego dnia, zobaczył przed sobą owcę, a jego strach uleciał. A nie był to, jak podaje prorok Jones „zwykły, niemoralny człowiek”, lecz „spokojny, mający dużą wiedzę męczyzna i bardzo dobra w obejściu osoba”.

III.

Egzorcyzm nożem wydaje się być walijskim pojęciem, istnieje stary przesąd w całej Europie, że podarować komuś nóż albo nożyczki oznacza przeciąć przyjaźń. Natknąłem się na ten przesąd nawet w Ameryce. Pewnego razu mój przyjaciel z Indianapolis zajmujący się edytorstwem tekstu podarował mi bardzo ładnie zdobiony scyzoryk, ale odmówił mi przekazania go, dopóki nie dam mu za niego chociaż centa, czyli ustawowo poprawnej waluty w tamtym kraju. Zapewniał mnie przy tym, że bez tych środków ostrożności na pewno zostaniemy wrogami. Również w Chinach nożom przypisuje się specjalne właściwości, a nóż, którym zabito przyjaciela jest bezcenny. W Walii, jeśli wierzyć Jonesowi, Gwyllion często przychodziły do domów ludzi z Aberystroth, szczególnie podczas burzowej pogody, a mieszkańcy ich przyjmowali jak gości - nie z miłości, ale ze strachu przed krzywdami, jakie Gwyllion mogłyby zadać gdyby się je czymś obraziło. Podawano im czystą wodę i dbano, by żaden nóż czy inne ostre narzędzie nie znalazło się zbyt blisko kąta przy ogniu, który elfy wybrały na swoje miejsce do siedzenia. Chociaż było pożądanym odpędzać je na wolnym powietrzu, uważanym było za niewłaściwe okazanie jakiegokolwiek doży braku gościnności wobec elfich gości. Przypadków udanego odpędzania nożem jest wiele, a nic, co dotyczy świata elfów, nie zostało udokumentowane.

Był sobie raz Evan Thomas który, podróżując nocą przez górę Bedwellty w kierunku doliny Ebwy Fawr, gdzie leżał jego dom i farma, zobaczył, że towarzyszą mu po obu stronach Gwyllion, niektóre tańczyły wokół niego w przyciągający oko sposób. Słyszał również dźwięk rogu roznoszący się w powietrzu i wydawało mu się, że koło niego przejechali niewidzialni myśliwi. Lekko się przestraszył, ale przypominał sobie, że da się

odpędzić te istoty dobywając noża. Wydobył więc nóż, a elfy natychmiast zniknęły. Warto powiedzieć, że Evan Thomas był „starym dżentelmenem, tak prawdomównym, że” od czasu do czasu „zdarzało mu się powiedzieć prawdę, która jemu samemu szkodziła”, bo „miał coś na tym stracić” w ten sposób, a jednak „choć mówiono mu, żeby zrobił inaczej, to on jednak uparcie mówił prawdę, nawet jeśli na tym tracił.” Czy znajdziemy podążając tym tropem jakieś powiązanie tych faktów z mieczem Artura, Excaliburem? A jeśli tak, to ponownie dotkniemy świata starożytności. Jones mówi, że Stara Kobieta z Góry od 1800 roku (przynajmniej w południowej Walii) zmuszona do ukrycia się przed światłem Ewangelii, teraz tak naprawdę nawiedza kopalnie - albo cytując kaznodzieję „doły z węglem i dziury.”

IV.

Pośród tradycji dotyczących pochodzenia Gwyllion istnieje jedna taka, która kojarzy je z kozami. Kozy w Walii są bardzo szczególnie cenione ze względu na swe magiczne moce intelektu. Wierzy się, że mają bardzo dobre stosunki z Tylwyth Teg, i posiadają więcej wiedzy, niżby na to wskazywał ich wygląd. Jedną z cech szczególnych Tylwyth Teg jest fakt, że w każdą piątkową noc czeszą one kozie brody, aby wyglądały one dobrze w niedzielę. Ich relacje z Gwyllion opowiada legenda o kozie Cadwaladra: Cadwaladr posiadał naprawdę dobrze odchowaną owcę o imieniu Jenny, którą bardzo lubił, a która wydawała się go równie mocno lubić. Ale pewnego dnia uciekła ona w góry jakby ją opętał diabeł, a Cadwaladr pobiegł za nią, na wpół oszalały z gniewu i zmartwienia. W końcu jego walijska krew stała się tak gorąca, gdy koza raz po raz mu uciekała, że rzucił w nią kamieniem, co sprawiło, że spadła z beczeniem do wąwozu na spotkanie swej śmierci. Cadwaladr zszedł na dół i znalazł umierającą kozę, która polizała jego rękę. Wstrząsnęło to tak bardzo mężczyzną, że usiadł koło niej na ziemi i wziął głowę zwierzęcia do rąk. Wszedł księżyc, a on dalej tam siedział. Nagle stwierdził, że koza została przemieniona w piękną, młodą kobietę, której brązowe oczy, gdy jej głowa spoczywała na jego rękach, spoglądały w jego własne w niepokojący sposób. „Ach Cadwaladr, czyżbym cię wreszcie znalazła?” Cadwaladr miał w domu żonę i poczuł się bardzo niezręcznie w tej sytuacji, ale gdy koza - yn awr dziewczyna - wstała i wystawiła swe pantofle na światło księżyca i wyciągnęła do niego rękę, ten wyciągnął swą dłoń i poszedł z nią. Ręka ta zaś wyglądała tak pięknie, że miał wrażenie, jakby to było kopytko. Wkrótce dotarli na szczyt najwyższej góry w Walii, a towarzyszyło im stado kóz o

mrocznych rogach uformowane z mgły. Zaczęły one w pewnym momencie beczeć nieziemsko koło jego uszu. Jedna z nich, która wydawała się być królem, miała głos, który rozbrzmiewał ponad wszystkimi innymi tak jak dzwony na zamku Carmarthen dawno temu brzmiały donośnie ponad wszystkimi innymi dzwonami w mieście. To ta koza ruszyła w jego kierunku, uderzyła go w brzuch i zepchnęła w przepaść tak jak on wcześniej to zrobił ze swym zwierzęciem. Gdy doszedł do siebie po upadku, poranne słońce oświetlało już świat, a nad jego głową śpiewały ptaki. Nie dane mu już było jednak zobaczyć ani kozy, ani elfki, w którą się ona przemieniła.

ROZDZIAŁ V

ODMIENICY

Plentyn-newid - Okrutne credo postępowania z odmieńcami -
Sposoby pozbywania się elfich dzieci z domów - Legenda o
skromnym posiłku - Legenda o miejscu sporu - Dewi Dal i elfy -
Zapobieganie porwanom przez elfy - Elfy przyłapane na
gorącym uczynku przez matki - Pobożność jako egzorcyzm.

I.

Tylwyth Teg pałają złym podziwem dla pięknych dzieci. Stąd też wzięła się obfitość folkloru traktującego o porwaniu noworodków z kołyszek i podrzuceniu w ich miejsce plentynnewid (podmienionego dziecka - odpowiednik naszego odmieńca). Podrzutek ma z początku dokładnie taki sam wygląd jak skradzione dziecko, ale jego wygląd szybko się zmienia. Jego twarz brzydnie, jego ciało jest wątłe, staje się niegrzeczny, często wrzeszczy i generalnie rzecz ujmując jest nieznośny. Gryzie i kopie, a przy tym staje się ciężkim brzemieniem dla biednej matki. Czasem jest zupełnie bezmyślny, ale często ma nadnaturalnie rozwinięty intelekt, rzecz nie do osiągnięcia nie tylko dla dziecka ludzkiego, ale również dla najstarszych, doświadczonych ludzi. Złotousty prorok Jones opowiada o przypadku gdy widział podrzutka - głupka podmienionego za syna Edmunda Johna Williama z Doliny Kościelnej w Monmouthshire. Jones relacjonuje: „Widziałem go na własne oczy. W jego wyglądzie było coś z diabelstwa,” a szczególnie w jego ruchach. „Wydawał z siebie głośnie dźwięki niezadowolenia”, które skutecznie odstraszały obcych, ale poza tym był niegroźny. Miał „ciemną, śniadą cerę.” Żył dłużej niż to normalne dla takich dzieci w Walii w tamtych czasach, dochodząc do dziesięciu, dwunastu lat (niezbyt przyjemna wiadomość dla rodziców, którzy musieli znosić dokazywania takiego dziecka). Jednakże credo ignorancji wobec odmieńców jest bardzo okrutne i przypomina nam sądy wieźm. Pod pozorem sprawdzenia czy nieposłuszne dziecko jest odmieńcem trzymane je na łopacie nad ogniem, albo kąpano w wywarze naparstnicy, który je zabijał. Są dowody potwierdzające, że taki test miał miejsce w Carnarvonshire w 1857 roku. Nie ma w tym nic specjalnie walijskiego, nie trzeba o

tym wspominać. Oprócz faktu, że dzieciobójstwo, podobnie jak morderstwo, nie ma kraju pochodzenia, podobne praktyki na odmieńcach miały miejsce w większości krajów europejskich. Miały one sprawdzać czy dziecko nie ukrywa swego prawdziwego oblicza, a jeśli by tak było, to miały je wypędzić i w ten sposób zmusić elfy do oddania prawdziwego dziecka rodzicom. W Danii matka nagrzewa piec, kładzie dziecko na obierkach i udaje, że chce je włożyć do komory, albo okłada je kijem, bądź też wrzuca je do wody. W Szwecji używa się podobnych metod. W Irlandii wykorzystuje się w tym celu gorącą łopatę. W sprawie odmieńca, o którym pisze Marcin Luter w swojej „Colloquia Mensalia”, wielki reformator ogłosił księciu Anhaltu, że gdyby to on był władcą, to „zaryzykowałby zabić takie dziecko, i wrzuciłby je do rzeki Mołdawy.” Skarcił lud i powiedział, że mają się modlić gorliwie do Boga, aby ten odegnał diabła, „a tak zostało uczynione. Na drugi rok dziecko umarło.” Jest raczej mało prawdopodobnym, aby było ono dobrze karmione podczas tych nabożnych zabiegów. Jego żarłoczny głód faktycznie jest opisany w obserwacjach Lutra: miało ono „jeść więcej niż dwóch młocarzy, śmiać się i być radosne, gdy w domu działo się coś złego, ale płakać i być bardzo smutne, gdy wszystko układało się dobrze.”

II.

Pewna historia, przyjmująca różne wersje w Walii, podtrzymuje tradycję przesadnie skromnego posiłku, jakiego używano dla wypędzenia podrzutka. Podczas swojego pobytu w Glamorganshire, M. Villemarqué usłyszał taką historię, która dla niego wydała się być identyczna z legendą bretońską, w której odmieniec w taki sposób wypowiadał triadę rh:

Gwcljz vi ken guelet iar wenn,
Gwcljz mez ken gwelet gwezen.
Gweljz mez ha gweliz gwial,
Gweliz derven e Koat Brezal,
Biskoaz na weliz kemend all.

W historii Glamorgan odmieniec miał jakoby mówić do siebie pod nosem „Widziałem żołądz, nim zobaczyłem dąb. Widziałem jajko, nim zobaczyłem białą kwokę. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.” M. Villemarqué zauważył, że te słowa po walijsku tworzyły triadę rymów prawie identyczną jak ta w bretońskiej balladzie, stąd też:

Gweliz mez ken gwelet derven,
Gweliz vi ken gwelet iar wenn,
Erioez ne wiliz evelhenn

[Keightley, „Elfia mitologia”]

W ten sposób doszliśmy do wniosku, że historia i rym pochodzą z czasów wcześniejszych niż siódmy wiek, epoka separacji Bretończyków z Walii i Armoryki. A oto ta historia:

Pewna matka, której dziecko zostało skradzione i podmienione na odmienca, dostała od dziewicy Marii poradę, aby przygotować jadła dla dziesięciu pracowników na farmie w skorupce od jajka. Miało to sprawić, że odmieniec przemówi.

Tak zrobiła, a dziecko zapytało co robi. Powiedziała mu. Wtedy ono wykrzyknęło „Posiłek dla dziesięciu, droga matko, w skorupce od jajka?” Potem wypowiedziało słowa zacytowane powyżej („Widziałem żołądź, itd”), a matka odpowiedziała „Widziałeś zbyt wiele rzeczy, mój synu, zasłużyłeś na manto.” Po tych słowy zaczęła go bić, dziecko zaczęło się wydzierać, przybyły elfy i zabrały go ze sobą, zostawiając w kołysce słodko śpiącego chłopca. Obudził się on i powiedział „Ach, mammo, tak długo spałem!”

III.

Natykałem się często na tę opowieść pośród Walijszyków, i zawsze pasowała ona najważniejszymi faktami do historii M. Villemarqués'a. Poniżej jest praktycznie dosłowna wersja opowiedziana w Radnorshire (hrabstwie przyległym do Montgomeryshire), a która, tak jak wszystkie te opowieści, charakteryzuje się wcale nie prymitywną tendencją do podawania nazw miejscowości:

„W gminie Trefeglwys niedaleko Llanidloes istnieje łódeczko małego pasterza, które nazywa się Miejscem Sporu, aby upamiętnić niezwykły spór, jaki miał tam miejsce. Mieszkańcami stojącej tam chatki był pewien mężczyzna i jego żona. Narodziły się im bliźniaki, a kobieta otoczyła je wielką opieką i miłością. Kilka miesięcy później niecierpiąca zwłoki sprawa zmusiła matkę do udania się do domu sąsiadów. Chociaż miała blisko, to wzbraniała się zostawić dzieci same w kołysce, bo ludzie opowiadali wiele historii o goblinach, lub też Tylwyth Teg nawiedzających domy w sąsiedztwie. Poszła, starając się wrócić tak szybko, jak to tylko możliwe. Jednakże w drodze powrotnej „przelekła się nie na żarty” widząc, chociaż był środek dnia, „stare elfy pod niebieską halką.” Podążyła szybko do domu pełna obaw, ale wszystko było tak jak to zostawiła, dlatego od razu jej ulżyło. „Ale po pewnym czasie ludzie zaczęli się zastanawiać czemu bliźniaki, zamiast rosnąć, dalej przypominają karły. Mężczyzna stwierdził, że to nie są jego dzieci, na co kobieta odparła, że to muszą być ich dzieci. Wybuchła o to wielka kłótnia, od której nazwę wzięło to miejsce. Pewnego wieczoru, gdy kobieta siedziała zmartwiona w domu, zdecydowała się udać do przywoływacza po radę czując pewność, że on wie wszystko... Niebawem miały się odbyć żniwa żyta i owsa, dlatego też mędrzec powiedział jej

„Gdy będziesz przygotowywać posiłek dla żniwiarzy, opróżnij skorupkę kurzego jaja, nagotuj w niej polewki i zabierz ją, jakbyś ją niosła żniwiarzom na obiad, a słuchaj przy tym co ci powiedzą bliźniaki. Jeśli usłyszysz, że mówią coś, czego żadne dziecko by nie zrozumiało, wróć do domu, weź je i zrzuć je w fale Llyn Ebyr, które przecież leży blisko twojego domu. Ale jeśli nie usłyszysz od nich niczego, nie czyn im krzywdy.” A gdy nadszedł dzień żniw, kobieta zrobiła jak jej doradca kazał, wyszła przed dom nasłuchując co mówią dzieci, a mówiły tak:

Gwelais fesen cyn gweled derwen;
Gweiais wy cyn gweled iâr
Erioed ni welais ferwi bwyd i fedel
Mewn plisgyn wy iâr!

Znałem ja żołędź przed dębem,
Jajko przed kurą;
Nigdy kurze jajo
Żniwiarzom by nie starczyło!

„Słyszac to matka wróciła do domu, wzięła dwójkę dzieci i wrzuciła je do Llyn, a nagle znikąd pojawiły się gobliny w swych niebieskich spodniach aby uratować karły, a matce zwrócono jej prawdziwe dzieci. W ten sposób spór między nią i jej mężem został zakończony.” [„Kwartalnik Kambryjski” ii., 86.]

IV.

Ta klasa opowieści nie zawsze przynależy do przypadku odmieńców, jak już wcześniej powiedziałem. Przypisane są do niej elfy z gospodarstw domowych jeśli te ostatnie, tak jak to będzie pokazane za chwilę, sprowadzą pod dach zbyt wielu swoich przyjaciół. Dewi Dal był farmerem, którego dom przeżył istny najazd elfów, tak że nie mógł spać z powodu hałasu, jaki one czyniły. Dewi poradził się mędrca Taiara, który nakazał żonie Dewiego wykonać kilka rzeczy, które ona dokładnie wykonała: „Rozpoczęły się właśnie żniwa owsa, gdy Cae Mawr, albo wielkie pole, do skoszenia którego potrzeba było piętnastu mężczyzn, było gotowe na przyjście żniwiarzy.

- Ja przygotowuję jedzenie dla piętnastu mężczyzn, którzy mają jutro skosić Cae Mawr - powiedziała na głos Eurwallt, żona Dewiego.

- Tak, przygotuj je proszę - odparł Dewi, równie głośno, tak by elfy mogły to usłyszeć. - I upewnij się, że jedzenia wystarczy, bo ciężką mają przed sobą pracę.

Kobieta odparła:

- Piętnastu mężczyzn nie będzie miało powodów do narzekań na ilość jedzenia. Dostaną tyle jedzenia, na ile będzie nas stać.

Potem, gdy nadszedł wieczór, Eurwallt przygotowała posiłek dla pokrzepienia żniwiarzy na następny dzień. Przygotowała wróbla, napchała go jak kurczaka i upiekła go na ogniu kuchennym. Włożyła trochę soli do skorupki po orzechu, po czym wyłożyła drób, sól i trochę chleba na stół, gotowe na posiłek dla piętnastu mężczyzn mających wykosić Cae Mawr. Widząc te śladowe ilości jedzenia elfy powiedziały jeden do drugiego „Opuśćmy to miejsce, bowiem wyczerpaliśmy zapasy gospodarzy. Czy ktoś kiedykolwiek był aż tak biedny, że podał wróbla na posiłek dla piętnastu mężczyzn?” Dlatego też odeszły

jeszcze tej nocy, zaś Dewi Dal i jego rodzina żyli potem spokojnie i w dostatku. [czcigodny T. R. Lloyd (Estyn), z „Księstwa”]

V.

Walijskie elfy wielokrotnie nakryto na tym, jak wynosiły czyjeś dzieci, a w takich przypadkach, jeśli matka wystarczająco gorliwie się temu sprzeciwiała, musiały one porzucić swój zamiar. Dazzy Walter, żona Abela Waltera z Ebwy Fawr pewnej nocy pod nieobecność męża obudziła się i spostrzegła, że nie było koło niej jej dziecka. Zaczęła go szukać pełna strachu, znalazła je i porwała w swoje ręce z półki nad łóżkiem, bo tylko tam udało się je donieść elfom. A Jennet Franceis z tej samej doliny Ebwy Fawr pewnej nocy poczuła, że ktoś wyciąga jej dziecko z ramion. Wrzasnęła i mocno je do siebie przygarnęła, a, jak to ujęła, „Bóg i ja to było za wiele dla nich.” Jej syn później dorósł i stał się sławnym kaznodzieją.

Istnieją specjalne egzorcyzmy i środki zaradcze mające przeszkodzić elfom w ich próbach porwania dzieci. Najważniejszym z nich w Cambrii jest ogólny zwyczaj pobożności. Każde pobożne zdanie ma wartość jako egzorcyzm, ale nie służy ono jako środek zaradczy. W tym celu musisz umieścić w kołysce dziecka nóż gdy zostawiasz je same, albo musisz położyć w poprzek kołyski obcęgi.

Ale najlepszym środkiem zaradczym jest chrzest. Zazwyczaj to nieochrzczone dziecko jest porywane. Dlatego w Frieslandzie, w Niemczech, uważa się za ochronę przeciwko elfom położyć na poduszce dziecka Biblię. Chyba nie da się wymyślić nic bardziej trywialnego niż to do rozważania dla poważnych, uczonych badaczy, ale to właśnie dzięki tym najbardziej trywialnym rzeczom studenci komparatystyki folkloru otrzymują swoje indeksy. W Turyngii uważa się za niezawodny środek zapobiegawczy powiesić na ścianie bryczesy ojca. Taki odosobniony przesąd nie znaczyłby nic, ale da się go wyśledzić w Szkocji [Henderson, „Notki o folklorze

północnych krajów”] i innych krajach, wliczając w to Chiny, gdzie spodnie ojca dziecka narzuca się na ramę łóżeczka w taki sposób, że pasek jest niżej niż nogawki. Na spodnie przytwierdza się kawałek czerwonego papieru z wypisanymi czterema słowami imitującymi cztery złe wpływy, które mają przejść na spodnie zamiast na dziecko. [Por. „Życie społeczne Chińczyków” Doolittle'a]

ROZDZIAŁ VI

ŻYCIE Z TYLWYTH TEG

Opowieść o Elidurusie - Shui Rhys i elfy - Gmina św. Dogmella w Pembrokeshire - Tańce z Ellyllon - Legenda o Rhys i llewellyn - Śmierć za przyłączenie się do elfiego korowodu - Legenda o krzaku z Nieba - Las magicznego cisu - Opowieść o Twm i Iago - Taffy ap Sion, Legenda o Pencaderze - Tradycje Pant Shon Shenkin - Tudur z Llangollen; Legenda o Niani yr Ellyllon - Polly Williams i elfy Trefethin - Elfy z Frennifawr - Opowieści o ciekawości - Władca bestii - Iago ap Dewi - Oryginalna opowieść o Ripie van Winkle'u.

I.

Tematem blisko związanym ze sprawą odmieńców jest ten dotyczący dorosłych albo dobrze wyrośniętych dzieci, którzy odchodzą, by żyć z Tylwyth Teg. Na tym polu tradycje walijskie są niezliczone, i nie zajmują się tylko ostatnim wiekiem czy dwoma, ale szczególnie ze średniowieczem. Sławę pośród brytyjskich goblinów zyskały elfy uwiecznione w *Opowieści o Elidurusie*. Została ona spisana po łacinie przez Giraldusa Cambrensis (on sam tak siebie nazywał, idąc za modą tamtych czasów), Walijszyka urodzonego na Zamku Pembroke i gorącego zwolennika wszystkiego, co walijskie, wliczając w to siebie samego. Bez wątpienia był on geniuszem, a do tego osobą niezwykle dobrze wykształconą. W 1188 udał się on w podróż po Walii z zamysłem rozważanej wtedy krucjaty, a po tej wyprawie napisał książkę - fascynujący obraz zwyczajów i tradycji obowiązujących w Walii w dwunastym wieku.

Sceną tej opowieści jest dolina Neath, wymieniona już jako sławne centrum elfiej krainy. Elidurus, będąc dwunastolatkiem, „w celu uniknięcia surowości swojego nauczyciela” uciekł ze szkoły i „ukrył się w jamie przy brzegu rzeki.” Przebywał tam już dwa dni, „zjawiła się dwójka ludzi i bardzo niskim wzroście”, którzy powiedzieli „jeśli pójdziesz z nami, zaprowadzimy cię do krainy pełnej rozkoszy i przyjemności.” Przystawszy na to Elidurus powstał i „podążył za swoimi nowymi przewodnikami drogą najpierw podziemną i mroczną, która zaprowadziła ich do najpiękniejszej z krain, pozbawionej jednak światła słonecznego.” Wszystkie dni w tym miejscu były „pochmurne, a noce niebywale ciemne.” Chłopca zaprowadzono przed oblicze króla tego dziwnego ludu i przedstawiono go dworowi. Król przez długi czas wypytywał chłopca o różne rzeczy, wreszcie przekazał go swojemu synowi,

wtedy będącemu jeszcze chłopcem. Mieszkańcy tego kraju, chociaż bardzo niscy, byli bardzo dobrze zbudowani, o urodziwych twarzach i długich włosach. „Mieli tam konie i charty dopasowane do swoich rozmiarów. Nie jadalі mięsa ani ryb, żywili się zaś mlekiem wymieszanym z szafranem. Zawsze gdy wracali z odwiedzin w naszym kraju, krytykowali naszą ambicję, niewierność i brak stałości, a chociaż nie posiadali żadnej formy gremialnie uznawanej wiary, to jednak, wydawało się, byli wiernymi kochankami i głosicielami prawdy. Chłopiec często powracał do swego kraju, czasem drogą, którą dotarł do tego miejsca, czasem innymi przejściami, najpierw w towarzystwie innych, a później samemu, a pozwalał się zobaczyć tylko swojej matce, której opowiadał o tym co widział. Ponieważ pragnęła ona, aby jej syn przyniósł jej jakiś podarunek ze złota, którego w tamtej krainie było w brud, młodzieniec podczas zabawy z synem króla ukradł złotą kulkę, którą pospiesznie zaniósł swej rodzicielce. Jak się okazało, ruszyła za nim pogoń. Gdy tylko przekroczył próg domu swego ojca”, potknął się, a kulka wypadła mu z ręki i „porwało ją dwóch pokurczów, którzy oddalili się, okazując chłopcu wszelkie możliwe oznaki pogardy i drwiny. Nieważne ile razy próbował przez rok odnaleźć podziemną drogą, nigdy mu się to nie udawało. Dobrze nauczył się języka swoich gospodarzy „którzy władali czymś na kształt greki. Gdy prosili o wodę, to mówili Udor udorum, zaś gdy chcieli soli, to mówili Halgein undorum. [Por. sir R. C. Hoare „Tłumaczenie Giraldusa].¹²

II.

Bardzo podobną do tej średniowiecznej legendy duchem, chociaż całkowicie różną jeśli idzie o detale jest współczesna opowieść o Shui Rhys, którą powiedział mi pewien mieszkaniec Cardiganshire. Shui była piękną dziewczyną w wieku siedemnastu lat, wysoką i smukłą, o skórze jak z kości słoniowej, włosach kruczoczarnych i kręconych, a oczach jak z ciemnego aksamitu. Pomimo swej urody była ona jednak tylko córką ubogiego farmera, a jedną z jej powinności było spędzanie krów na dojenie. Podczas tej pracy czasem chodziła ona smutno bez celu, zbierała kwiaty przy drodze albo goniła motyle, po prostu próbowała znaleźć trochę przyjemności w każdej danej jej przez los chwili. Często strofowano ją za te przechadzki, w rzeczy samej ludzie mówili, że matka Shui była dla niej zbyt wymagająca, i że jej ostre słowa nie służyły ku dobremu. W końcu, mówiono, dziewczyna nie chciała źle. Jednakże pewnego razu, gdy dziewczyna nie wróciła do domu aż do czasu pójścia do łóżka, a przy tym zostawiwszy krowy same sobie, jej matka wzięła się za nią jak jeszcze nigdy wcześniej.

- Ysgwaetheroedd, mammi, - powiedziała Shui - Nie potrafiłam nic z tym zrobić, to sprawka Tylwyth Teg. Kobieta osłupiała na te słowa, ale nie mogła znaleźć odpowiedzi, wiedziała bowiem, że te istoty często widywano w lasach Cardigan. Shui na początku wstydziła się mówić o elfach, ale w końcu wyznała, że były to małe istoty odziane w zielone ubranka, które tańczyły dookoła niej i grały na swych harfach. Mówiły przy tym do niej w języku zbyt pięknym, aby dało się go powtórzyć. Dziewczyna nie potrafiła zrozumieć słów, chociaż dobrze wiedziała co miały na myśli elfy. Wiele razy po tym wydarzeniu Shui wracała spóźniona do domu, teraz jednak nikt

już jej nie karmił ze strachu przed elfami. Aż w końcu pewnej nocy nie wróciła. Przeszukano lasy, ale nie znaleziono ani śladu po niej, nigdy też już więcej nie zobaczono jej w Cardigan. Jej matka wypatrywała jej na polach Teir-nos Ysprydion przez trzy noce w roku, kiedy gobliny na pewno opuszczają swe domy, ale Shui nigdy nie wróciła. Pewnego razu w sąsiedztwie pojawiła się plotka, że widziano ją w jakimś odległym, wielkim mieście - Paryżu, albo może Londynie - kto wie? Ta opowieść w jednak żaden sposób nie przyćmiła przekonania, że dziewczę porwały elfy, mogły ją przecież zaprowadzić do jednego z tych dobrze znanych centrów leniwej i grzesznej przyjemności, tak samo jak do każdego innego miejsca.

III.

Pewien stary człowiek, który zmarł w gminie St. Dogmell w Pembrokeshire całkiem niedawno (dokładniej w 1860) mając prawie sto lat na karku, zwykł mawiać, że całe sąsiedztwo było uważane za „fou.” Wielu ludzi doświadczyło bycia zwodzonymi na manowce w nocy, aby po cudownych przygodach i niewypowiedzianych podróżach, które wydawały się nie mieć końca stwierdzić, że o poranku stoją całkiem blisko swoich domostw. W pewnym przypadku, człowiek, który zabłądził, przez przypadek miał przy sobie sporo różnego rodzaju przedmiotów, a był na tyle sprytny, by podążając za zwodniczym widziadłem upuszczać którąś z nich co jakiś czas, tak aby na następny dzień być w stanie prześledzić trasę swej wędrówki. Gdy zaświtało, rozpoczęto poszukiwania tych przedmiotów i znaleziono je porozrzucane na wiele mil od jego domu. Innym razem pewien rybak z St. Dogmell wracał z wesela w Moelgrove, a ponieważ ściemniło już się, to elfy odwiodły go od obranej drogi, jednak po kilku godzinach człowiek ten miał szczęście (którego mógłby mu pozazdrościć sir John Franklin) „odkryć biegun północny”, a dzięki temu punktowi odniesienia poprowadzić swą rozbujaną barkę bezpiecznie do progu własnego domostwa. Mówi się nawet z pełną powagą, że pewien surowy i dostoyny zakonnik, nie będący już młodzieńcem, lecz posunięty w latach, pewnej nocy został zmuszony do przyłączenia się do tańca St. Dogmell i trwania w nim aż do poranka. Brakuje konkretnych szczegółów dotyczących tego zdarzenia, jednak nie ma wątplenia, że to Ellyllon byli zwiedli tych ludzi na zły szlak i nałożyli im na głowy czapki nieświadomości, aby nie byli w stanie dokładnie opowiedzieć co im się przytrafiło.

IV.

Spiew i taniec odgrywają bardzo ważną rolę w historiach z tej grupy. Najczęściej walijskie elfy są widziane właśnie podczas wspólnych tańców. Próbują one nakłonić śmiertelników do wspólnego tańca, a jeśli ktoś da się w to wciągnąć, to najprawdopodobniej jego przyjaciele nie zobaczą go przez długi czas. Edmund William Rees z Aberystroth został w takim sposób zwiedziony przez elfy, a powrócił do domu pod koniec roku, wyglądając przy tym bardzo źle. Nie potrafił jednak wyjaśnić precyzyjnie co robił przez ten czas, mówił jedynie, że tańczył. Bardzo często taka kolej wypadków miała miejsce przy takich zdarzeniach. Albo nie byli oni w stanie, albo nie odważyli się opowiedzieć o tym, co ich spotkało.

Dwóch służących z farmy, zwanych Rhys i Llewellyn, powracali pewnego wieczoru o zmroku z pracy, gdy Rhys wykrzyknął, że usłyszał elfią muzykę. Jego towarzysz nie słyszał niczego, ale Rhys stwierdził, że były to dźwięki, do których przyszło mu już po stokroć tańczyć, i że zaraz znów to zrobi. „Idź, wkrótce do ciebie dołączę” powiedział. Llewellyn nie zgadzał się, ale tamten już go nie słuchał, odbiegł gdzieś daleko i zostawił towarzysza samego, a ten powrócił do domu wierząc, że Rhys po prostu pobiegł się zabawić, i że wróci do domu pijany przed porankiem. Jednakże nadszedł poranek, a jego nie było nigdzie widać. Na próżno go szukano. Mijał czas, dni zamieniły się w miesiące, aż wreszcie podejrzenia padły na Llewellyna, oskarżano go o zamordowanie zagubionego mężczyzny. Osadzono go w więzieniu. Pewien farmer obyty w sprawach elfów zaczął się zastanawiać jak naprawdę to wszystko wyglądało i zaproponował, że wraz z kilkoma ludźmi i biednym Llewellynem uda się na miejsce, gdzie ostatni raz widziano Rhysa. Zgodzono się na to. „Cisza!” zawołał więzień

„słyszę słodką muzykę harf!” Wszyscy nasłuchiwali, ale nie potrafili wychwycić żadnego dźwięku. „Postaw swą stopę na mojej, Dawidzie” stwierdził ponownie więzień do jednego z kompanów. Jego własna stopa spoczywała na zewnętrznym pierścieniu elfiego kręgu. Dawid postawił tam stopę, a później cała reszta, a wtedy usłyszeli muzykę wielu harf i zobaczyli, że w kręgu o średnicy dwudziestu stóp tańczy wiele małych postaci wkoło, a był pośród nich Rhys, tańczący jak szalony! Gdy ten w obrotach przeszedł koło zgromadzonych ludzi, Llewellyn złapał go za ubranie i wyciągnął z kręgu. „Gdzie są konie? Gdzie są konie?” zawołał Rhys gorączkowo. „Taa, konie” skrzywił się jego przyjaciel z pogardą. „wfft! Do domu. Konie!” Uratowany mężczyzna chciał dalej tańczyć twierdząc, że przecież robił to ledwie kilka chwil. „Byłeś tam wystarczająco długo, żebym prawie został powieszony.” Odprowadzono go w końcu do domu, ale to już nie był ten sam człowiek co kiedyś, a i tak w niedługim czasie zmarł.

V.

W przeważającej większości tych opowieści bohater ginie natychmiast po wyzwoleniu go z niewoli elfów, a w niektórych przypadkach to jak nagle i w jaki sposób dokonuje się jego zagłada jest szokujące i dramatyczne. Przytoczona poniżej opowieść, dobrze znana w Carmarthenshire, pokazuje ten szczegół z wielką siłą:

Był sobie raz pewien farmer, który podczas porannego marszu po swe konie na pastwisko usłyszał dźwięki harf. Rozglądając się uważnie dookoła za źródłem spostrzegł nagle grupę Tylwyth Teg tańczących wesoło na polanie. Pragnąc przyłączyć się do tańca i odnowić znajomość z tymi istotami farmer wkroczył w ich krąg. Nigdy postanowienie człowieka nie zostało tak dokładnie wypełnione, ponieważ nie pozwolono mu zaprzestać aż upłynęło wiele lat. Nawet wtedy mógł on nie zostać wypuszczony gdyby nie przypadek, który sprawił, że niedaleko przechodził pewien mężczyzna na tyle blisko kręgu, by zobaczyć tańczącego człowieka. „Duw catto ni!” zawołał. „Broń nas Panie Boże! Ten tutaj to wesołek. Hej, hola, co na niebiosa czyni cię człowieku tak żywym?” Słowa te, zawierające w sobie imię Niebios, przełamały czar rzucony na nieszczęśnika, który przemówił jak ktoś we śnie. „O dyn! Cóż się stało z końmi?” Po tych słowach wystąpił on z kręgu i natychmiast rozpadł się w pył, który zmieszał się z ziemią.

Podobną historię opowiada się w Carnarvon, jednakże pomija ona elfi taniec, a przywołuje postać pobożnego człowieka, co pomaga wykazać wiekowość tej klasy legend poprzez pokazanie, że jest to adaptacja wcześniejszej opowieści dokonana przez mnichów. W pobliżu Clynog w Carnarvonshire jest pewne miejsce nazywane Llwyn y Nef (Niebiański Krzak), który w taki oto sposób uzyskał swe miano: W Clynog żył

pewien mnich prowadzący bardzo pobożne życie, który pragnął zostać zabranym do nieba. Pewnego wieczoru podczas spaceru brzegiem rzeki poza murami klasztoru, usiadł on pod zielonym drzewem i zamyślił się głęboko, a potem zasnął, a spał tak przez tysiące lat. W końcu usłyszał głos: „Obudź się śniący i wstań.” Obudził się. Wszystko wydawało mu się być obce prócz starego klasztoru, który wciąż stał przy rzece. Udał się do niego, a tam dobrze go ugoszczono. Poprosił o łóżko, gdzie mógłby spocząć i dostał je. Następnego ranka inni zakonnicy szukali go, ale nie znaleźli nic oprócz garści pyłu. [„Cymry Fu” 188]

Tak samo w legendzie o pięciu świętych śpiących w jaskini Caio przewija się legenda o rycerzach Artura śpiących pod Craig-y-Ddinas.

VI.

W Mathavarn, w gminie Llanwrin, i w Cantref z Cyfeillioc popularna jest tradycja dotycząca pewnego lasu zwanego Ffridd yr Ywen (Cisowego Lasu), który nazywa się tak dzięki magicznemu drzewu cisu, które rośnie dokładnie pośrodku tego miejsca. Pod tym to drzewem znajduje się elfi krąg zwany *Miejscem Tańców Goblinów*. Istnieje kilka kręgów w tym lesie, ale ten jeden konkretny krąg odnajdujemy w legendzie:

Wiele lat temu dwóch służących z farmy nazywanych Twm i Iago poszło pracować w Cisowym Lesie. Wczesnym popołudniem okolicę okryła tak gęsta mgła, że młodzieńcy pomyśleli, iż słońce już zachodzi i poczęli się zbierać do domu, ale gdy stanęli pod cisem w środku lasu, nagle spostrzegli, że wszędzie dookoła nich jest jasno. Uznali, że jeszcze zbyt wcześnie by wracać i stwierdzili, że położą się pod drzewem i utną sobie drzemkę.

W końcu Twm się ocknął i odkrył, że jego towarzysza tam nie było. Wielce go to zaskoczyło ale stwierdził, że Iago musiał udać się do wioski w sprawie, o której rozmawiali przed zaśnięciem. Dlatego też udał się do domu, a na wszystkie pytania dotyczące przyjaciela odpowiadał „Poszedł do wioski, do szewca.”

Jednakże Iago wciąż nie było następnego ranka, a wtedy Twm został dokładnie przepytany co się stało z drugim młodzieńcem. Chłopak wyznał, że zasnęli oni pod cisem w miejscu, gdzie znajdował się elfi krąg, i że od tamtego momentu nie widział już Iago. Przeszukiwano cały las i całą okolicę przez wiele dni, aż wreszcie młodzian udał się do gwr cyfarwydd (albo przywoływacza), a był to w owym czasie popularny zawód jak podaje legenda. Mędrzec dał mu taką oto radę:

- Udaj się w to samo miejsce gdzie ty i twój przyjaciel zasnęliście. Zrób tak dokładnie w rok po zaginięciu chłopca.

Niech będzie to ten sam dzień roku i ta sama godzina ale zważ, abyś nie przekroczył kręgu. Stań przy granicy zielonego koła, które tam widziałeś a zobaczysz, że chłopiec zjawi się tam w towarzystwie wielu goblinów i rozpocznie się taniec. Jak tylko zbliży się on do ciebie na tyle blisko, abyś mógł go złapać, zrób to i wyciągnij go jak najszybciej z kręgu.

Usłuchano tych poleceń. Pojawił się Iago tańczący z Tylwyth Teg, który został wyrwany z kręgu.

- Duw, duw! Jakże blado wyglądasz - powiedział Twm. - Nie jesteś aby głodny?

- Nie - odparł chłopak. - A nawet gdyby, to mam przy sobie w sakwie pozostałości po obiedzie sprzed naszej drzemki.

Ale gdy spojrzał do sakwy stwierdził, że nie było tam żadnego jedzenia.

- Cóż, najwyraźniej czas już do domu - stwierdził z westchnieniem, nie wiedział bo wiem, że upłynął równy rok.

Wyglądał jak szkielet, a gdy tylko skosztował jedzenia, rozsypał się w proch.

VII.

Taffy ap Sion, syn szewca, żyjący blisko Pencader w Carmarthenshire, był chłopcem, który wiele lat temu wstąpił do elfiego kręgu na pobliskiej górze, a po - jak mu się wydawało - kilku minutach tańca przez przypadek wypadł z niego. Wielkie było jego zaskoczenie gdy odkrył, że miejsce, które tak dobrze znał, wydawało mu się nagle tak obce. Było tam wiele dróg i domów, których nigdy wcześniej nie widział, a w miejscu skromnej chatki jego ojca stała piękna farma wybudowana z ciosanego kamienia. Dookoła rozciągały się urokliwe pola uprawne zamiast nagiego grzbietu góry, do którego był przyzwyczajony.

- Ach - pomyślał. - To pewnie jakaś sztuczka elfów mająca oszukać me oczy. Nie upłynęło przecież dziesięć minut odkąd wkroczyłem do kręgu, a teraz gdy z niego wyszedłem, to one wybudowały memu ojcu nowy dom! Cóż, mam nadzieję, że jest on prawdziwy. Pójdę i się przekonam.

Ruszył więc drogą, którą znał na pamięć, ale nagle uderzył w gruby żywopłot. Przetarł oczy, przejechał po żywopłocie palcami, podrapał się po głowie, ponownie dotknął przeszkody, wbił sobie kolec w palec i zawołał:

- Wbwb! To nie żaden czarodziejski żywopłot, ani też nie wyrósł on sądząc po kolcach w kilka minut.

Chłopiec przeskoczył przez niego i udał się w dalszą drogę.

- Tutaj się narodziłem - powiedział wkraczając na podwórze farmy, rozglądając się dookoła z niepokojem. - Ale nie znam tutaj ani jednego przedmiotu!

Jego zaskoczenie było całkowite, gdy przypadł do niego olbrzymi pies szczekający zajadle.

- Co to za pies? Uciekaj, brzydka bestio! Nie wiesz, że jestem tutaj panem? Przynajmniej wtedy, gdy tylko mama jest w domu,

tata się nie liczy.

Ale pies czekał jeszcze głośniej.

- Zapewne - wymamrotał Taffy sam do siebie. - Zgubiłem się i chodzę po jakimś nieznanym mi obejściu sąsiadów. Ale nie, tam jest Careg Hir!”

Chłopak stał wpatrując się w dobrze sobie znaną skałę, która ciągle stoi na zboczu góry na południe od Pencader, a która miała jakoby być tam postawiona w zamierzonych czasach dla upamiętnienia czyjegoś zwycięstwa. Gdy Taffy tak stał wpatrując się w Długą Skałę, usłyszał za sobą kroki właściciela farmy, który wyszedł by zobaczyć czemu pies tak szczeka. Biedny młodzieniec był tak obdarty i wychudły, że walijskie serce farmera natychmiast okazało współczucie.

- Kim jesteś, biedny chłopcze? - spytał.

- Jestem synem szewca, który mieszkał tutaj jeszcze tego ranka, bowiem znam tę skałę, nawet jeśli się trochę zmieniła.

- Biedaku - westchnął mężczyzna. - Musiałeś postradać zmysły. Ten dom został wybudowany przez mojego pradziadka, naprawiony przez mojego dziadka, a tamta część, ta wyglądająca na nową, została wzniesiona trzy lata temu za moją sprawą. Musisz być obłąkany albo zgubiłeś drogę, ale wejdź proszę do mojego domu, odpocznij i zjedz coś.

Taffy już prawie dał się przekonać, że zasnął i pomylił drogę, ale spojrzał za siebie, zobaczył opisaną wcześniej skałę i wykrzyknął:

- Ledwie godzinę temu byłem na tamtej skale i okradałem orle gniazdo.

- Zatem gdzie byłeś potem?

Chłopak opowiedział mu swoją przygodę.

- Ach - westchnął farmer. - Teraz rozumiem, przebywałeś wśród elfów. Powiedz mi, jak nazywał się twój ojciec?

- Sion Evan y Crydd o Glanrhyd - padła odpowiedź.

- Nigdy nie słyszałem o takim człowieku - powiedział farmer potrząsając głową. - Ani też o miejscu zwanym Glanrhyd. Ale to nieważne, jak już coś zjesz, udamy się do Catti Shon w

Pencader, która najprawdopodobniej będzie w stanie nam coś wyjaśnić.

Z tymi słowy nakazała Taffiemu podążać za sobą i udali się w drogę, jednakże słysząc, że kroki za nim wydają się być coraz słabsze, mężczyzna odwrócił się i ku swemu przerażeniu spostrzegł, że biedny chłopak na jego oczach rozpadł się i rozsypał w kupkę czarnego prochu. Pomimo przerażenia farmer zachował na tyle spokoju, by udać się do Catti, starej kobieciny o której wcześniej wspominał, która żyła w Pencader, całkiem blisko. Przybył do niej w momencie jak klęczała nad ogniskiem z chrustu próbując ogrzać stare kości.

- Jakże wam się układa w taki dzień, Catti Shon? - spytał farmer.

- Ach - odparła kobieta. - Mam się naprawdę dobrze farmerze, zaważywszy na to ile mam lat.

- Tak, tak - jesteście bardzo stara. Ale ponieważ macie tyle lat, pozwólcie że zadam wam pytanie - czy pamiętacie cokolwiek o Sion y Crydd o Glanrhyd? Czy kiedykolwiek żył taki człowiek, wiecie może?

- Sion Glanrhyd? Och, kołacze mi się w głowie wątle wspomnienie o tym jak mój dziadek, stary Evan Shenkin z Penferdir opowiadał, że syn Siona zaginął pewnego poranka i już nigdy o nim nie słyszano, temu też mówiono, że zabrały go elfy. Chatka jego ojca stała niegdyś w pobliżu twojego domu.

- A czy w tamtym czasie było tu dużo elfów? - spytał farmer.

- O tak, często widywano je na tamtym wzgórzu, a powiedziano mi, że ostatnio pokazały się w Pant Shon Shenkin, gdzie zajadały owsiankę ze skorupki jajek ukradzionych z pobliskiej farmy.

- Dir anwyl fi! - krzyknął farmer. - A niech mnie, teraz sobie przypominam - sam je widziałem!

Pant Shon¹³. Młodzi ludzie udali się w tamto miejsce i zobaczyli tańczące małe istoty. Na ten widok ludzie podzielili się i okrążyli elfy, jednak te natychmiast stały się niewidzialne i już nigdy ich tam nie widziano. Shenkin, trzeba tutaj dodać,

było bardzo sławnym miejscem dla elfów z Carmarthenshire. Wiele jest tradycji traktujących o nich w tamtym regionie. Jedną z najdziwniejszych z nich jest opowieść jak to pewna kobieta złapała elfa na górze w pobliżu Pant Shon Shenkin, który pozostał u niej w niewoli przez długi czas, zachowując przy tym swój wzrost i rozmiary, aż w końcu udało mu się uciec.

Inna ciekawa tradycja dotyczy pewnego Wielkanocnego Poniedziałku, kiedy to mieszkańcy z gminy Pencarreg i Caio spotkali się aby zagrać w piłkę nożną i spostrzegli liczną grupę Tylwyth Teg podczas tańca. Ponieważ młodzieńców było tak wielu, bez strachu podeszli oni grupą do niskiego ludu, a ci na widok zbliżających się ludzi przemieścili się w inne miejsce. Podążono za nimi, ale elfy ponownie pojawiły się w miejscu, gdzie tańczyły na początku. Na ten widok ludzie podzielili się i otoczyli magiczne istoty, ale te natychmiast stały się niewidzialne i już nigdy później ich tam nie widziano.

VIII.

Ignorancja tego co miało miejsce w elfim kręgu nie jest niezmienną cechą takich legend jak te, które mieliśmy okazję prześledzić. W historii Tudura z Llangollen zachowanej przez kilku starych pisarzy walijskich, przeżycia bohatera są oddane niezwykle żywo i z wielką ilością szczegółów. Sceną tej opowieści jest kotlina w pobliżu Llangollen usytuowana na zboczu góry w pół drogi do ruin zamku Dinas Bran, która to kotlina jest po dziś dzień nazywana Nant yr Ellyllon. Uzyskała ona swe miano jeśli wierzyć tradycji w taki oto sposób: Pewien młodzieniec o imieniu Tudur ap Einion Gloff zwykł niegdyś pasać owce swego pana w tamtym miejscu. Pewnej letniej nocy, gdy Tudur przygotowywał się do powrotu na równiny ze swą trzodą, nagle obok niego na kamieniu pojawił się „mały człowiek w bryczesach z mchu, niosący pod pachą skrzypki. Był on najmniejszym, najwątleszym człowieczkiem jakiego dało się sobie wyobrazić. Jego płaszcz był zrobiony z liści brzozy, na głowie nosił hełm składający się z kwiatu janowca, zaś na stopach miał czółenka z pszczelich skrzydełek. Przeciągnął palcami po instrumencie, a muzyka sprawiła, że Tudur stanął jak wryty.

- Nos da'ch, nos da'ch - powiedział człowieczek, co oznacza „dobrej nocy, dobrej nocy życzę”.

- Ac i chwithau - odparł chłopiec, co oznacza „i nawzajem.”

Wtedy człowieczek mówił dalej:

- Lubisz tańczyć Tudurze, a jeśli zostaniesz tu chwilę dłużej, to ujrzysz najwspanialszych tancerzy w całej Walii, zaś ja będę muzykiem.

- Gdzie zatem jest twoja harfa? - westchnął młodzieniec. - Walińczyk nie potrafi nawet tańczyć bez harfy.

- Och - odrzekł rozmówca. - Na skrzypcach łatwiej wygrać mi muzykę do tańca.

- Skrzypcami nazywasz tę łyżkę ze strunami w swoich rękach? - spytał Tudur, który nigdy wcześniej nie widział takiego instrumentu na oczy.

A wtedy zobaczył o zmierzchu setki małych, urodziwych elfów zmierzających stronę miejsca, w którym obaj stali ze wszystkich stron. Niektóre były ubrane na biało, inne na niebiesko, niektóre na różowo, a jeszcze inne niosły w rękach robaczki świętojańskie służące za pochodnie. Cała ta gromada kroczyła przy tym tak lekko, że ani jedno żdźbło trawy czy kwiat nie ucierpiały przy ich przemarszu, zaś każdy z nich przechodząc obok człowieka kłaniał mu się albo go pozdrowiał, ten zaś odpowiedzi zdjął kapelusz i oddawał ukłony. Nagle mały grajek przeciągnął smyczkiem po strunach instrumentu, a grana przez niego muzyka była tak czarująca, że Tudur stał nieruchomo w miejscu. Na dźwięk melodii Tylwyth Teg podzielili się na grupy i rozpoczęli taniec. Żadnego z tańców, jakie chłopak widział w swoim życiu nie dało się przyrównać do tego, co w tamtej chwili widziały jego oczy. Nie potrafił powstrzymać się od klaskania i przytupywania w rytm melodii, ale nie śmiał dołączyć do tańca, gdyż „pomyślał sobie, że tańczyć w nocy w górach w nieznanym towarzystwie, możliwe że do rytmu diabelskich skrzypiec nie wydaje się być najprostszą drogą do Nieba.” W końcu jednak okazało się, że nie da się oprzeć kuszącemu pragnieniu, a człowiek przyłączył się do płasających Ellyllon.

- No to do dzieła - krzyknął Tudur wyrzucając w powietrze swoją czapkę z radości. - Grajże, stary diable, siarką i wodą jeśli taka twa wola!

Ledwie padły te słowa a wszystko się przemieniło. Z głowy grajka zniknęła czapka z kwiatu janowca, a w jej miejsce pojawiły się koźle rogi. Jego twarz stała się tak czarna jak sadza. Spod jego płaszcza z liści ukazał się długi ogon, a kopyta zastąpiły stopy w czółenkach. Serce Tudura było ciężkie, ale jego pięty były lekkie. Czuł w żołądku przerażenie, ale jego

nogami rządził impet ruchu. Elfy przemieniły się w wiele różnych istot. Niektóre z nich stały się kozłami, inne psami, jeszcze inne przybrały formy lisów, a niektóre kotów. Była to najdziwniejsza gromada, jaka kiedykolwiek otaczała istotę ludzką. W końcu taniec stał się tak porywisty, że chłopiec nie był w stanie stwierdzić kto koło niego tańczy. Istoty te kręciły się koło niego tak szybko, że przypominały pierścień ognia. Młodzian jednak ciągle tańczył. Nie mógł przestać, skrzypce diabła to było dla niego zbyt wiele, postać z rogami cały czas grała na nich z niesłabnącym wigorem, a chłopiec wirował i tańczył wbrew samemu sobie. Następnego dnia pan Tudura wspiął się na górę w poszukiwaniu zaginionego pasterza i jego trzody. Znalazł owce, były całe i zdrowe u stóp Fron, ale jakie było jego zdziwienie, gdy wspiął się wyżej i odnalazł młodzieńca kręcącego się jak szaleniec w środku kotliny znanej teraz jako Nant yr Ellyllon. Kilka pobożnych słów z jego strony przerwało czar, chłopak mógł wrócić bezpiecznie do swojego domu w Llangollen, gdzie przez wiele lat z zapałem opowiadał o swoich przygodach. [czcigodny T.R. Lloyd (Estyn) w „Księstwie”].

IX.

Polly Williams, dobra dama urodzona w gminie Trefethin i żyjąca w Ship Inn, przy Pontypool w Monmouthshire zwykła była opowiadać, że jako dziecko tańczyła z Tylwyth Teg. Pierwszy raz miało to miejsce gdy wracała pewnego dnia ze szkoły. Zobaczyła elfy tańczące w przyjemnym, suchym miejscu pod jabłonią, a ponieważ myślała, że to dzieci takie same jak ona, to podeszła do nich, a te nakłoniły ją do wspólnego tańca. Zaprowadziła je do pustej stodoły i tam tańczyli. Po tym wydarzeniu przez trzy lub cztery lata często spotykała się z i tańczyła z nimi po drodze z lub do szkoły. Nigdy nie słyszała odgłosów ich stóp, a ponieważ w końcu domyśliła się że były to elfy, sama zdjęła ffollachau (chodaki) aby samej móc nie czynić hałasu, bała się bowiem, że stukot jej obuwia był dla nich nieprzyjemny. Wszystkie elfy były odziane w niebiesko-zielone płaszcze, a chociaż postacie te były małe, to jednak po ich poważnych twarzach dziewczynka widziała, że nie są to dzieci. Pewnego razu gdy wróciła bosą do domu po tańcach z elfami, została skarcona za chodzenie do szkoły w takim stanie, jednakże dochowała tajemnicy o elfach ze strachu przed problemami, i nigdy nikomu o nich nie powiedziała do czasu aż była już dorosłą kobietą. Zaniechała w końcu po trzech czy czterech latach tańców z nimi, co bardzo je obraziło. Próbowwały ją ponownie do siebie przywieść, ale kiedy odmówiła, zadały jej cierpienie poprzez „przestawienie jednego z jej członków do chodzenia,” [Jones, „Widziadła”] co jak eufemizm dla nóg przebija pod względem pruderyjności wszystko wymyślone w Ameryce.

X.

Silnym kontrastem dla tego rzeczowego opisu współczesnego świadka jest barwny opis życia elfów zawarty w legendzie o Frennifawr. Około dziesięć mil na południe od Cardigan leży góra w Pembrokeshire nazywana Frennifawr, będąca sceną tej opowieści. Młody pastuszek opiekował się swoimi owcami na zboczu małych gór zwanych Frennifach pewnego pięknego dnia w czerwcu. Spoglądając na szczyt Frennifawr by sprawdzić w jaki sposób zbierała się tam mgła - ponieważ jeśli mgła wisiała od strony Pembrokeshire, to zawsze była piękna pogoda, a jeśli od strony Cardigan, to przychodziła niedługo burza - dostrzegł on Tylwyth Teg, z wyglądu przypominających małych żołnierzy tańczących w kręgu. Wyruszył w kierunku miejsca hulanki i wkrótce dotarł do kręgu stworzonego przez kobiety i mężczyzn, którzy radośnie płąsali przy dźwiękach harfy. Nigdy wcześniej nie widział tak przystojnego ludu, ani tak czarująco radosnego. Nawoływali go uśmiechając się aby do nich dołączył, odchylając się przy tym w tył i kręcąc dookoła trzymając się za ręce. Tańczący nigdy nie wykraczali poza wyznaczone koło, inni wspinali się na pobliski dolmen, a jeszcze inni gonili się nawzajem z zaskakującą prędkością i pośród największej radości. Kolejni jeździli na małych, białych konikach o najcudniejszych kształtach. Tymi jeźdźcami były damy, a ich suknie były nieopisanie piękne, przewyższające blaskiem samo słońce, a przy tym miały one wiele kolorów, jedne były białe, a inne w odcieniu najżywszego szkarłatu. Mężczyźni nosili czerwone trójkątne czapki, a panie lekkie i fantazyjne przybrania głowy powiewające na wietrze. Wszystko to działo się w ciszy, bo choć pastuch widział harfy, to nie mógł ich słyszeć. Zbliżył się jednak do kręgu i w końcu odważył się postawić w jego wnętrzu stopę. W tym samym momencie jego

uszy zauroczyła fala najbardziej melodyjnej muzyki jaką kiedykolwiek słyszał. Poruszyło go to do żywego i śmiało wkroczył w krąg. Ledwie to uczynił, a stwierdził, że stoi w pysznym pałacu błyszczącym od złota i pereł. Otaczały go wszystkie możliwe formy piękna, a zaoferowano mu każdy rodzaj przyjemności. Pozwolono mu chodzić gdzie mu się podobało, a na każdy jego ruch czekała grupa młodych, niezrównanie kochanych i uroczych kobiet. Żaden zaś język nie jest w stanie wyrazić jakie radości stały się jego udziałem. Zamiast tatws-a-llaeth (ziemniaków i maślanki), do których był dotychczas przyzwyczajony, podano mu ptactwo i mięsiwo każdego rodzaju, podawane na srebrnych tacach. Zamiast pędzonego w domu cwrw, jedyne bachijskie trunku jaki dane mu było spróbować z prawdziwym życiu, tutaj podano mu czerwone i białe wina najprzedniejszych gatunków, podawane w złotych pucharach bogato inkrustowanych drogocennymi kamieniami. Służącymi były urodziwe dziewczęta, a wszystkiego było w brud. Jego wolność była ograniczona tylko jednym nakazem: nie wolno mu było pić wody z pewnej studni w ogrodzie, w której pływały ławice różnokolorowych ryb, włącznie z tymi złotymi. Każdego dnia dostarczano mu nowych radości, pokazywano mu nowe, przepiękne miejsca, przedstawiano nowe osoby, jeszcze urokliwsze jeśli to tylko możliwe od tych, które spotkał wcześniej. Wszystko to było czynione, by go zauroczyć, lecz pewnego dnia cała ta radość ustała w jednej chwili. Ponieważ miał już w posiadaniu każdą przyjemność, jakiej dostąpić może śmiertelnik, zapragnął tej jednej zabronionej - tak jak Ewa w raju czy Fatima na zamku, a ciekawość doprowadziła do upadku. Włożył rękę do studni, a wszystkie ryby natychmiast zniknęły, przyłożył ręce do ust, a przez ogród przebiegł okrzyk zdziwienia. Gdy napił się wody, pałac i wszystko inne zniknęło, a on stał trzęsąc się w powietrzu nocy, sam w górach, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie kiedyś wkroczył w krąg. [„Przesady Kambryjskie”, 148. (Jest to mały zbiór walijskich opowiadań wydanych w Tipton w 1831, który jest teraz bardzo rzadki; jego autorem był W. Howells,

chłopak liczący dziewiętnaście lat, a jego praca ujrzała światło
dienne dzięki małej nagrodzie zaoferowanej przez
archidiakona Beynona przez gazetę Carmarthen w 1830. Użyty
tam angielski wymaga poprawek, ale sam materiał ma sporą
wartość.))]

XI.

Prawdopodobnie niepotrzebny jest jakikolwiek komentarz na temat podobieństw tych opowieści do najślawniejszych legend z innych krajów, rzucą się one od razu w oczy każdemu czytelnikowi, który jest choć trochę obyty z folklorem.

Dla tych, którzy nie są z nim obyci, wystarczy powiedzieć, że istnieje wiele takich podobieństw, które świadczą o wspólnych korzeniach tych opowieści w odległej przeszłości. Ostatnia z podanych legend traktuje o ciekawości, znanej z opowieści „Sinobrody”, ale swe korzenie ma w opowieści o Psyche. Miała ona zakaz patrzeć na swego męża Erosa, boga miłości. Nie usłuchała zakazu, a wtedy cudowny pałac w którym mieszkała z nim zniknął w okamgnieniu, pozostawiając ją samą w opuszczonym miejscu. Jednakże starsza o całe wieki od historii Psyche jest legenda zawierająca w sobie oryginalny mit aryjski. Kropla oliwy, która spada na ramię śpiącego księcia i budzi go, wyjawiając ciekawość Psyche, ale równocześnie niszcząc jej szczęście, pośród Walijczyków oddana jest w postaci magicznego olejku z legendy o Władcy Bestii. Legenda ta, można założyć, znana jest również we Francji i w Niemczech, gdzie jej szczegóły jedynie trochę różnią się od tych podanych tutaj: pewna szanowana Walijka z klasy pracującej, która żyła z rodzicami, poszła pewnego dnia na targi pracy. Tam podszedł do niej pewien bardzo dobrze wyglądający dżentelmen odziany na czarno, który spytał ją czy nie chciałaby być jego pielęgniarzką i czy nie podjęłaby się zajmowania jego dziećmi. Ta odparła, że nie ma nic przeciwko, gdy tylko usłyszała jak dużo ma zarabiać, a on stwierdził, że zabierze ją do siebie pod warunkiem, że kobieta zgodzi się tam udać z zawiązanymi oczyma. Gdy było już to wykonane, kobieta siadła na jego smoliście czarnego konia i odjechali z wielką szybkością. W

końcu zsiadli z konia, jej nowy pan wziął ją za rękę i poprowadził, wciąż mającą zawiązane oczy, przez jakiś czas. Potem opaska została usunięta, a ona zobaczyła więcej przepychu niż w całym swoim dotychczasowym życiu, wspaniały pałac oświetlony większą ilością świateł niż potrafiła zliczyć, a w nim gromadkę dzieci pięknych jak aniołki, oraz wiele szlachetnych panów i pań. Dzieci zostały oddane pod jej opiekę, a ona sama otrzymała pudełko z olejkim, który miała nakładać na ich oczy. Równocześnie jej pracodawca kategorycznie nakazał jej zawsze myć ręce po użyciu tego olejku i zalecił szczególną ostrożność, żeby nawet kropla nie dotknęła jej własnych oczu. Kobieta przestrzegała tych zaleceń bardzo precyzyjnie i przez jakiś czas wszyscy byli szczęśliwi, jednak czasem wydawało jej się dziwne, że muszą żyć tylko przy świetle świec. Zastanawiało ją również, że przecież pałac był tak wielki i wspaniały, że nikt ze znajdujących się tam pań i panów nie powinien chcieć go opuszczać. A jednak było na odwrót, nikt nigdy go nie opuszczał oprócz jej pracodawcy. Pewnego poranka podczas gdy nakładała ona olejek na oczy dzieci, zaswędziało ją oko, a ona sama zapomniała o nakazie swojego pana i potarła róg oka palcem pokrytym olejkim. Natychmiast dzięki temu jak widziała tym kątem oka spostrzegła, że otaczają ją straszliwe płomienie, panie i panowie wyglądają jak diabły, a dzieci jak odrażające małpy z piekła rodem. Chociaż resztą oka widziała wszystko takim, jakim było wcześniej, to nie potrafiła się nie bać, jednak dzięki sprytowi nie dała po sobie poznać, że się czegokolwiek domyśla. Zamiast tego przy pierwszej nadarzającej się sposobności spytała swego pana o możliwość udania się na spotkanie z jej przyjaciółmi. Ten odparł, że zabierze ją na to spotkanie pod warunkiem, że da sobie zawiązać oczy. Znowż założono jej na oczy opaskę, znowż wsiadła na koń za swoim panem, a po niedługim czasie zsiadła zeń tuż przy swoim domu. Wierzy się, że pozostała tam po cichu i postarała się za żadne skarby nie wrócić w tamto miejsce, ale wiele lat później gdy była na jarmarku, zobaczyła jak jakiś mężczyzna kradnie coś ze straganu, a kątem oka

dostrzegła swego starego pana popychającego jego łokieć. Bez namysłu zawołała:

- Jak się macie, mój stary panie? Jak się mają pańskie dzieci?
- Jak mnie zobaczyłaś? - zapytał on zaskoczony.
- Kątem lewego oka.

Od tamtego czasu była ślepa na lewe oko, i wiele lat żyła tylko z prawym okiem [„Przesady Kambryjskie”, 349]. Starsza legenda, która zachowuje te mityczne detale to legenda o Taliesinie. Oczy Gwiona Bach zostają otwarte dzięki kropli z kotła Caridwena, która spadła na jego palec, a którą ten włożył do swych ust.

XII.

Tradycja z Carmarthenshire pośród tych, którzy przez jakiś czas żyli pośród Tylwyth Teg nikogo innego jak tłumacza, który przełożył na walijski „Postęp pielgrzyma” Bunya. Był on również nazywany Lago ap Dewi i żył w gminie Llanllawddog, w Carmarthenshire, w chatce usytuowanej w lesie Llangwyly. Sąsiedzi nie widzieli go przez długi czas, a ogólnie wierzono, że Lago „wstał pewnego razu z łóżka, aby popatrzeć na gwieździste niebo jak to było w jego zwyczaju (astrologia była jedną z jego ulubionych nauk), co zainteresowało odpoczywające w pobliskim lesie elfy, które przechodząc w pobliżu zabrały go ze sobą, a ten mieszkał z nimi przez siedem lat. Gdy już powrócił między ludzi, wielu pytało się go gdzie był i co widział, ale on zawsze unikał odpowiadania na którekolwiek z tych pytań.

XIII.

Otwarte w tej klasie szerokie pole zainteresowań jest fascynującym dla studentów elfiej mitologii. Cały świat wydaje się być sceną takich opowieści, a kolekcjonerzy przejawów folkloru z wielu regionów twierdzili, że natrafili na oryginał, na podstawie którego powstała opowieść o Rip van Winkle'u. Jest to oddanie hołdu amerykańskiemu geniuszowi, co do którego nie potrafię się powstrzymać żeby nie zrobić aluzji, że z tych wszystkich legend żadna nie zdobyła tak szerokiej sławy jak ta, którą Washington Irving nadał naszej literaturze, a Joseph Jefferson naszemu teatrowi. Wydaje się być więcej niż prawdopodobnym, że Irving zaczerpnął inspiracji od braci Grimm, i że Catskills zapożyczyły od gór Hartz w Niemczech swą romantyczną sławę. Istnieje niezliczona liczba legend, w których ma miejsce nieoczekiwany upływ czasu pośród nadnaturalnych stworzeń i powrót do domu by dowiedzieć się, że wszystko się zmieniło. W Grecji poeta Epimenides podczas poszukiwań zaginionej owcy wkracza do pewnej jaskini, w której przesypia czterdzieści siedem lat. Legendy celtyckie i germańskie są dobrze znane. Najbardziej zaskakuje jednak żywotność mitu w Chinach i Japonii. W opowieści japońskiej młody mężczyzna łowiący ryby z łodzi na oceanie zostaje zaproszony przez boginię morza do jej domu pod falami. Po trzech dniach pragnie od spotkać się ze swymi starymi rodzicami. Podczas rozstania wręcza mu ona złotą szkatułę i klucz, ale błaga go, by nigdy jej nie otwierał. W wiosce, w której niegdyś mieszkał stwierdza on, że wszystko się zmieniło i nie może odnaleźć swoich rodziców aż w końcu pewna stara kobieta przypomina sobie, że słyszała kiedyś ich imiona. Odnajduje ich groby, liczące już sobie sto lat. Myśląc, że trzy dni nie mogły stanowić o takiej różnicy i podejrzewając, że rzucono

na niego czar, mężczyzna otwiera szkatułę. Unosi się z niej biały obłok, pod wpływem którego człowiek pada na ziemię. Jego włosy siwieją, jego ciało traci młodość i w kilka chwil umiera on ze starości. Chińska legenda opisuje jak to dwóch przyjaciół poszukuje ziół do celów medycznych w parowach górskich. Docierają oni do czarodziejskiego mostu strzeżonego przez dwie kobiety o nieziemskiej urodzie. Zapraszają one mężczyzn do zaczarowanej krainy leżącej po drugiej stronie przeprawy, zaproszenie zostaje przyjęte, a oni zakochują się w tych kobietach i mieszkają - przez jak im się wydaje - krótki czas u elfów. W końcu wyrażają oni życzenie zobaczyć swe ziemskie domy i otrzymują pozwolenie na powrót, a tam przekonują się, że przeminęło siedem pokoleń podczas ich pozornie krótkiej nieobecności, oni sami zaś stają się stulatkami [Dennys, „Folklor Chin”. 98] Jak w każdym innym miejscu, w Chinach legenda ta przyjmuje wiele form.

ROZDZIAŁ VII

ELFIA MUZYKA

Zaczarowane ptaki - Legenda o Shon ap Shenkin - Muzyka harfy w walijskich opowiadaniach o elfach - Legenda o magicznej harfie - Pieśni i melodie Tylwyth Teg - Legenda o Iola ap Hugh - Mistyczne pochodzenie starego walijskiego powietrza.

I.

W tych rzadkich przypadkach, gdy żaden taniec nie zatrzymuje ofiar Tylwyth Teg swym śmiercionośnym urokiem, kusicielem jest muzyka. Istnieje klasa opowiadań ciągle często spotykanych w Walii, które umożliwiły przetrwanie przepięknej prymitywnej mitologii. W rozległej przestrzeni między czasami współczesnymi i wiekami prehistorycznymi napotykamy więcej niż raz na jakże ciekawą legendę o Ptakach z Rhiannon, które śpiewały tak słodko, że rycerze stali słuchając oczarowani przez osiemdziesiąt lat. Legenda ta pojawia się w *Mabinogi* Branwen, córki Llyr'a, a czytając ją dostrzegamy tam średniowieczną historię, jednakże średniowieczni autorzy *Mabinogionu*, tacy jakich ich znamy, pracowali na starszych materiałach - opowiadali ponownie opowieści, które przez niezliczone wieki były przekazywane z ojca na syna zgodnie z tradycją. Młodzi kambryjscy poeci często czynią aluzje do ptaków z Rhiannon, są one wspomniane w *Triadach*. W *Mabinogionie* czas, jaki rycerze słuchali, to siedem lat. Tylko siedmiu mężczyzn uciekło od pewnej walki z Irlandczykami, a ich umierający dowódca nakazał im odciąć jego głowę i zanieść ją do Londynu, a tam pochować ją twarzą w stronę Francji. Wiele przygód napotkali oni na swej drodze próbując wykonać nakaz. W Harlech zatrzymali się na popas, zasiedli też do jadła i picia. „I nagle nadleciały trzy ptaki, które zaczęły śpiewać im pewną pieśń, a wszystkie słyszane przez nich dotychczas pieśni były w porównaniu z tą jedną nieprzyjemne dla ucha. Same ptaki zaś wydawały się im przebywać gdzieś daleko za morzem, a jednak widzieli je tak wyraźnie jakby siedziały zaraz przy nich. Posiłek ten potrwał siedem lat.” [Goście Lady Charlotte „Mabinogion,” 381.]¹⁴ To czarujące zjawisko pojawia się w lokalnej opowieści o Shonie ap Shenkin, a opowiedziała mi ją

żona pewnego farmera mieszkająca w pobliżu słynnego miejsca, w którym ta legenda ma miejsce. Pant Shon Shenkin zostało już wymienione jako sławne centrum elfów z Carmarthenshire. Opowieść o Taffym ap Sion i ta o Shonie ap Shenkin były zapewne na pewnym etapie jedną i tę samą historią, chociaż obecnie przedstawiają dwie różne rzeczy.

Shon ap Shenkin był młodym mężczyzną żyjącym w pobliżu Pant Shon Shenkin. Gdy pewnego razu szedł na pole wczesnym rankiem pięknego letniego dnia, usłyszał śpiew małego ptaszka, który cudnie szczebiotał na drzewie przy drodze. Skuszony melodią mężczyzna usiadł pod drzewem, a gdy muzyka ustała, wstał i rozejrzał się dookoła. Jakie było jego zaskoczenie gdy zauważył, że drzewo, które przed chwilą było zielone i pełne życia, teraz było wyniszczone i огоłocone z kory! Pełen niepokoju powrócił na swoją farmę, którą zostawił, jak mu się wydawało kilka minut temu, ta jednak również była odmieniona, starsza, pokryta bluszczem. W drzwiach stał jakiś starzec, którego mężczyzna nie widział nigdy wcześniej. Natychmiast zapytał staruszka czego tam chciał.

- Czego ja tu chcę? - wykrzyknął starzec czerwieniejąc ze złości. - To całkiem dobre pytanie. Kim jesteś i jak śmiesz obrażać mnie w moim własnym domu?

- W twoim domu? Jak to? Gdzie mój ojciec i moja matka, których pozostawiłem tu kilka minut temu, podczas gdy ja sam słuchałem uroczej muzyki pod tamtym drzewem, a które, gdy wstałem, okazało się być wyniszczone i pozbawione liści?

- Pod drzewem! Muzyka! Jak ci na imię?

- Shon ap Shenkin.

- Biada ci biedny Shonie, to jednak ty - stwierdził starzec. - Często słyszałem jak mój dziadek, twój ojciec mówił o tobie, a długo opłakiwał on twoje zniknięcie. Podjęto bezowocne poszukiwania, jednak stara Catti Maddock z Brechfa powiedziała, że dostałeś się w ręce elfów, i że nie zostaniesz uwolniony, dopóki nie wyschnie ostatnia gałązka tego jaworu. Obejmij mnie drogi wuju, bo przecież jesteś moim wujem - obejmij swego bratanka.

Z tymi słowy starzec wyciągnął przed siebie swe ręce, ale zanim mężczyźni zdążyli się objąć, biedny Shon ap Shenkin rozpadł się w proch na progu domu.

II.

Elfy w Walii grają na harfie częściej niż jest ona używana w jakiegokolwiek innej części świata. Jeśli pośród muzyki elfów da się wyróżnić jakiś instrument, to jest to zazwyczaj właśnie harfa. Czasem są to skrzypce, ale po dokładniejszym przyglądnięciu się okazuje się, że to jakiś pojmany śmiertelnik na nich gra, bowiem Tylwyth Teg wolą harfy. Przy szczególnych okazjach grają one na rogu, jest też zapisany przypadek, czy dwa, gdy słyszano brzęczenie kobzy, w takim przypadku jednak muzyk na pewno musiał być zbłąkanym elfem ze Szkocji czy z innego kraju. Na szczycie Craig-y-Ddinas tysiące białych elfów tańczy do muzyki wielu harf. W parowie zwanym Cwm Pergwm, w dolinie Neath, Tylwyth Teg muzykują za wodospadem, a jeśli uchodzą one w góry, dźwięki ich harfy zanikają powoli wraz z ich odejściem. Historia prezentująca kambryjski odpowiednik Magicznego Fletu zastępuje harfę na mnie znanym Walijszykom instrument. Opowieść ta, przekazana tak jak została mi opowiedziana, układa się mniej więcej w ten sposób:

Pewna grupa elfów odwiedzających często Cader Idris miała zwyczaj chodzić od chatki do chatki w tej części Walii, próbując dowiedzieć się jak bardzo życzliwi byli mieszkający tam ludzie. Ci, którzy zgotowali elfom złe przyjęcie, przez resztę swego życia doświadczali niebywałego pecha, ci zaś, którzy przyjęli małych ludzi pod swe dachy, otrzymali ich łaski. Stary Morgan ap Rhys siedział pewnej nocy przed swoim kominkiem umilając sobie czas swoją fajką i kuflem cwnv da. Dobry trunek lekko go rozluźnił, tak że był w dużo radośniejszym nastroju niż zazwyczaj, a wtedy od drzwi dobiegło drapanie, które wpadło do jego ucha przedzierając się przez dym z jego fajki i hałas czyniony przez jego własny głos, bowiem upojony Morgan

śpiewał rubaszną piosenkę, nawet jeśli nie potrafił śpiewać lepiej niż haw, co po walijsku oznacza osła. Mężczyzna nie zaprzął sobie głowy podejściem do drzwi na dźwięk drapania, bowiem jego maniery nie były zbyt wyszukane. Uważał, że wystarczająco grzecznym z jego strony będzie jeśli ryknie po walijsku „Gwaed dyn a'i gilydd! Czemu nie wejdziecie do środka, skoro macie przed sobą tylko drzwi?” To przywitanie nie było najgrzeczniejszym z możliwych, ale wystarczyło. Drzwi się otworzyły, a do środka weszła trójka zmęczonych i zdrożonych wędrowców. Były to elfy z Cader Idris, przebrane w taki sposób by móc obserwować, zaś Morgan nigdy nie podejrzewał, że może mieć przed sobą kogoś innego.

- Dobry panie - powiedział jeden z podróżników. - Jesteśmy zmęczeni trudami drogi, ale jedyne o co prosimy to kęs jadła, który byśmy mogli schować do naszej sakwy, a wtedy odejdziemy.

- Hola chłopcy! Czy tylko tyle chcecie? Cóż, tam jest bochenek chleba i ser, a przy nich leży nóż, możecie ukroić sobie ile chcecie, a przy tym napełnić nie tylko wasze sakwy, ale również wasze brzuchy, bowiem nikt nie powie, że Morgan ap Rhys odmówił stawy innemu stworzeniu.

Podróżnicy zabrali się do jedzenia podczas gdy Morgan oddawał się dalej picciu, paleniu i śpiewaniu na swój sposób, a był to w rzeczy samej bardzo nieprzyjemny śpiew. Gdy podróżnicy mieli już wyjść, jeden z nich zwrócił się do mężczyzny:

- Ponieważ byłeś dla nas tak hojny, to my teraz okażemy ci swą wdzięczność. Mamy moc spełnić każde jedno z twoich życzeń, powiedz zatem co to ma być.

- No no! - powiedział człowiek. - To tak się sprawy mają? Ach, widzę, że urządzaacie sobie moim kosztem zabawę. Cóż, cóż, moim życzeniem jest mieć harfę, która będzie grała pod wpływem mojego dotyku nieważne jak źle bym nie grał. Ma to przy tym być harfa grająca żywe melodie, nie chcę żadnej melancholijnej muzyki tutaj!

Ledwie to wyrzekł, gdy ku jego zaskoczeniu na klepisku spostrzegł przepiękną harfę, a po gościach nie było ani śladu.

- Ojej - zakrzyknął. - A oni już zniknęli.

Potem ogłódnił się za siebie i spostrzegł, że nie zabrali ze sobą chleba ani sera, którego nakroili. Cóż, zapewne były to elfy, tak to sobie mamrocząc wytłumaczył, po czym usiadł i zabrał się za swoje piwo, spoglądając od czasu do czasu na instrument. Wtem za drzwiami rozległy się odgłosy kroków, to jego żona i jej przyjaciele nadchodzili. Morgan w przypływie radości pomyślał, że przyprawi ich wszystkich o trochę śmiechu pokazując jak dobrze potrafi grać na harfie. Zaczął więc grać - och, a cóż to była za skoczna muzyka!

- Niebawem - powiedział. - Cóż to za wspaniała harfa. Hej, a co się wam wszystkim dzieje?

Gdy tylko zaczął grać, jego sąsiedzi rozpoczęli taniec, mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy tańczyli jak szaleni. Niektórzy podskakiwali pod sufit aż ich głowy pękały, podczas gdy inni kręcili się dookoła przewracając się o meble, zaś gdy Morgan nie przestawał swej bezmyślnej gry, tamci zaczęli go błagać żeby przestał dopóki jeszcze nie rozsarpało ich na strzępy. Ten jednak uznał całą scenę za zbyt zabawną żeby przestać, poza tym strasznie spodobały mu się jego umiejętności jako muzyka, dlatego też szarpał za struny i śmiał się aż rozboleły go boki, a po policzkach spływały łzy rozbawienia z wygłupów jego przyjaciół. W końcu zmęczenie wzięło górę, przestał grać, a tancerze padli wyczerpani na podłogę, krzesła i stoły zgodnie twierdząc, że w harfie na pewno siedzi diawł.

- Znam ja melodię po dwakroć lepszą niż ta, do której teraz tańczyście - westchnął Morgan, a na widok jego ruchów całe towarzystwo uciekło z jego chatki, pozostawiając go samego zataczającego się ze śmiechu. Za każdym razem po tym wydarzeniu, gdy mężczyzna lekko się wstawił, brał do rąk harfę i sprawiał, że wszyscy dookoła tańczyli. W rezultacie rozeszły się o nim złe wieści i nikt nie chciał przebywać w jego towarzystwie. Wszystkie te środki zaradcze jednak nie

wystarczały, od czasu do czasu udało mu się złapać sąsiadów, a wtedy Morgan mścił się na nich każąc im tańczyć aż do połamania nóg czy odniesienia innych ran. Nawet kulawi i inwalidzi byli zmuszeni tańczyć za każdym razem gdy słyszeli muzykę tego diabelskiego telyn. Mówiąc krótko Morgan tak źle używał daru od elfów, że pewnej nocy dobrzy ludzie przyszli i mu ją zabrali, i nigdy więcej jej już nie zobaczył. W rezultacie stał się posepny i zapił się na śmierć. Jest to ostrzeżenie dla tych, którzy przyjmują od elfów dary, na które nie zasługują.

III.

Muzyka Tylwyth Teg była wielokrotnie opisywana przez tych, którzy utrzymywali, że ją słyszeli, jednak generalnie bardzo niedokładnie, z naciskiem na słodką, niepojętą harmonię, przywołującą doświadczenie Calibana:

Na wyspie słyhać wiele odgłosów
Dźwięków i słodkich melodii, które sprawiają przyjemność i nie szkodzą.
Czasem tysiąc brzęczących instrumentów
Buczy mi koło ucha.

[„Burza” Akt III, sc. 2.]

Pewien Morgan Gwilyn, który spostrzegł elfy przy wodospadzie Cylepsta i usłyszał ich oddalającą się muzykę, był w stanie przypomnieć sobie tylko ostatnią linijkę, która wygląda mniej więcej tak:

Edmund Daniel z Arail, „szczerzy człowiek i wieczny mówca prawdy” powiedział prorokowi Jonesowi że często widywał elfy po zachodzie słońca jak przechodziły przez Cefn Bach z Doliny Kościelnej w kierunku Hafodafel, skacząc uderzając w powietrzu, a w ten sposób czyniąc w powietrzu kształt węża.

W tym regionie wielu słyszało i widziało elfy, a czasem nawet po kilka osób naraz. Dużo częściej pojawiały się nocą niż za dnia, a przy tym częściej o poranku i wieczorem niż w południe. Wielu słyszało ich muzykę i mówiło o niej, że jest cicha i przyjemna dla ucha, oraz że było w niej coś specjalnego: nie dało się zapamiętać jej melodii. W ciekawszych ustępach Księstwa usłyszano dokładne słowa, które pod nazwą „Cân y Tylwyth Teg” zachowały się w takiej formie:

Dowch, dowch, gyfeillon mân,

O blith marwolion byd,
Dowch, dowch, a dowch yn lân.
Partowch partowch eich pibau cân,
Gan ddawnsio dowch i gyd,
Mae yn hyfryd heno i hwn.

Raczej nie przekłada się tej gobliniej pieśni na prosty angielski, ponieważ po walijsku robi ona takie wrażenie jak „Fi Fo Fum.” Niechaj wystarczy stwierdzenie, że ta pieśń jest zaproszeniem dla ludzików pośród zmarłych w ziemi, aby przybyli z muzyką i tańcem na rozkoszną nocną zabawę.

IV.

W legendzie o Iola ap Hugh, czyli w najszerzej znanej opowieści z Walii, pokazane jest elfie pochodzenie znanej melodii „Ffarwel Ned Pugh.” Jest legenda sugerująca inne wyobrażenie Zaczarowanego Fletu, tutaj instrumentem są skrzypce, a ofiarą i grajkiem ktoś pod kontrolą elfów. Wprowadzając chleb, ser i świece wyraźnie wskazuje ona na ziemię. W północnej Walii jest pewna znana jaskinia, o której mówi się, że rozciąga się od swego wejścia do pochyłości pod Morda, Ceiriog i tysiącem innych strumieni, pod wieloma ligami¹⁵ gór, bagien i trzęsawisk, pod niewyobrażalną liczbą studni które, chociaż już zasypane, kiedyś zaopatrywały w wodę Sycharth, fortecę Glyndwrduy, i sam zamek Chirk. Tradycja mówiła, że ktokolwiek by nie wszedł w nią na pięć kroków, był wciągany i słuch po nim ginął. To, że mieszkający w pobliżu wieśniacy respektowali tę tradycję zostało udowodnione przez fakt, że wszędzie dookoła niebezpiecznej dziury „trawa rosła tak gęsta i bujna jak w dzikich ostępach Ameryki czy w niedostępnych partiach Alp.” Zarówno ludzie jak i zwierzęta obawiały się tego miejsca: „Lis, któremu na ogonie siedziała sfora ujadających psów pewnego razu szybko zawrócił czując, że zbliża się to miejsce, a jego futro było zjeżone z przerażenia, po czym rzucił się w sam środek nadbiegającej pogoni, tak jakby cokolwiek ziemskiego, nawet śmierć, było ulgą w porównaniu z nadnaturalnymi perturbacjami.” Zaś psy biegnące za nim nie chciały go łapać ze względu na zapach fosforu i świecące się futro.

Co więcej, „Elias ap Evan, który przez przypadek pewnej nocy zatoczył się dokładnie na krawędź tego zakazanego miejsca, był tak przerażony tym co zobaczył i usłyszał, że do domu dotarł całkowicie trzeźwy” pomimo faktu, że przez ostatnie

dwadzieścia lat jedynymi momentami jego trzeźwości były poranki, południe i noc. Po tej przygodzie, na myśl o której potrząsał głową jakby mógł opowiedzieć ciekawą historię, ale się nie odważył. Elias nigdy już nawet się nie wstawiał, po prostu nie pił już do końca swych dni. Jak sam to ujął: „Jego cień szedł spokojnie przed nim i czasem okręcał się wokół niego jak wskazówka na tarczy zegara.” W pewne mgliste Hallow E'en, Iola ap Hugh, skrzypek, zdecydował się rozwiązać zagadkę Ogof, czyli jaskini. Zaopatrzył się w znaczne ilości chleba, sera i siedem funtów świeczek, po czym wkroczył do środka. Nigdy nie powrócił, ale długi czas później w mroku innego Hallow E'en pewien stary pasterz przechodzący koło „Krainy diabelskiego zamętu” usłyszał słabe dźwięki jakiejś melodii dochodzące zza skał ponad jaskinią. Gdy tak nasłuchiwał, muzyka stopniowo „stopiła się w coś jakby melodię, chociaż była to melodia, której pasterz nigdy wcześniej nie słyszał.” Brzmiała ona jakby wygrywał ją jakiś szalejący bies, tak poszarpany był jej rytm, tak często pojawiały się fałszywe nuty. Nagle pojawiła się u wejścia postać dobrze znana mężczyźnie z opowieści. Była ledwie widoczna, ale był to Lob ap Hugh, od razu dało się to stwierdzić. Tańczył on wściekle w rytm muzyki własnych skrzypiec, a u piersi świeciła mu latarnia. „Nagle światło księżyca zaalał wejście do Ogof, a mężczyzna na chwilę dostrzegł biednego Ioba - a było to straszne i wyraźne. Jego twarz była blada jak marmur, jego oczy patrzyły przed siebie bez wyrazu podczas gdy jego głowa zwisała luźno i bez oparcia z jego ramion. Ramiona wydawały się utrzymywać skrzypce w ruchu bez cienia współczucia dla ich pana. Pasterz widział go przez chwilę u wlotu do jaskini, ale ten po chwili zniknął jak cień. Starzec opowiadał później, że wszedł on do jaskini w sposób zupełnie inny niż uczyniłby to żywy i zdrowy na umyśle człowiek. „Został on wciągnięty jak dym w komin czy też mgła o poranku.”

Upłynęły lata, „wszystkie nadzieje i smutki za biednym Iobem nie tylko wygasły, ale zostały już prawie zapomniane, stary pasterz długo mieszkał w odległej gminie pośród wzgórz. W

pewien zimny, grudniowy niedzielny wieczór on i inni mieszkańcy jego gminy trzęśli się z chłodu w ławkach, gdy kleryk zaczynał oświetlać kościół, kiedy nagle spod nawy rozległa się dziwna muzyka, która wprowadziła cały zbór z zakłopotanie, a potem przesunęła się ku odległemu końcowi kościoła i stopniowo zaczęła, zanikać, aż w końcu nie sposób było jej odróżnić od wiatru dmącego i wyjącego pośród wielu filarów kościoła.” Pasterz natychmiast rozpoznał to jako melodię graną przez Iolo u wejścia do Ogof. Pastor zboru - koneser muzyki - spisał ją z gwizdania starca, a do tego dnia jeśli idziesz do jaskini w Hallow eve i przyłożysz ucho do szczeliny, to może usłyszysz melodię „Ffarwel Ned Pugh” tak wyraźnie jak szum fal w muszli. Mówi się, że w pewne noce podczas roku przestępnego jakaś gwiazda znajduje się naprzeciwko najdalszego końca jaskini, a jej światło pozwala spojrzeć do środka i zobaczyć Ioba i jego towarzyszy. [Kwartalnik Kambryjski, wydanie 45.]

ROZDZIAŁ VIII

ELFIE KREĞI

Prorok Jones i jego pracy - Tajemniczy język Tylwyth Teg - Koń w walijskim folklorze - Konne elfy - Elfie bydło, owce, świnie i inne - Latające elfy z Bedwellty - Elfia owczarnia w Cae'r Cefn.

I.

Kręgi w trawie na zielonych polach, popularnie nazywane elfimi kręgami, występują licznie w całej Walii. Uważa się, że mądrze jest się trzymać od nich z dala, nawet w dzisiejszych czasach. Chłopstwo nie wierzy już, że możliwe jest zobaczyć tańczące tam elfy, ani że na głowę osoby, która w takie miejsce wkracza spadnie czapka niewidka, wierzą jednak że elfy w dawno minionych czasach uczyniły te kręgi ruchami swych płasających stóp, i że prawdopodobnie na kogoś naruszającego taką zakazaną ziemię spadną nieszczęścia. Pewien stary człowiek z Peterstone-super-Ely powiedział mi, że dobrze pamięta jak w dzieciństwie mama ostrzegała go, aby trzymał się z dala od tych kręgów. Dana mu w ten sposób rada wywarła tak wielki wpływ na jego umysł, że nigdy w życiu nie wkroczył on w takie miejsce. Powiedział on również w odpowiedzi na moje pytanie, że nigdy nie przeszedł pod drabiną, ponieważ przynosiło to nieszczęście. Ta klasa przesądów jest bardzo rozległa i można się na nią natknąć na całym świecie, zaś elfie kręgi zdają się pasować do niej, przynajmniej jeśli idzie o współczesne wierzenia w Walii.

II.

Wielokrotnie już w tej książce nawiązano do proroka Jonesa, a ponieważ jakaś prezentacja tej osoby jest konieczna w jakiegokolwiek pracy traktującej o walijskim folklorze, zaprezentuję ją tutaj, zanim jeszcze zacytuję jego uwagi na temat elfich kręgów. Edmund Jones był kaznodzieją niezgadzanym się z ogólnie przyjętymi poglądami, o którym pierwsze fakty pochodzą z Monmouthshire z pierwszych lat obecnego stulecia ze względu na jego gorliwą pobożność i wysoką wiarygodność w sprawach elfów i innych goblinów. Był on przez wiele lat pastorem zboru protestanckich innowierców¹⁶ w Kaplicy Ebenezera w pobliżu Pontypool, żył zaś w miejscu zwanym „Tranch”, będącym blisko tego pierwszego. Napisał i wydał dwie książki. Pierwsza to „Opowieści z gminy Aberystwith”, wydana w Trevecca, druga to „Relacje o widziadłach i duchach w regionie Monmouth i Księstwie Walijskim”, wydana w Newport. Odnosiła się do nich większość pisarzy na temat folkloru, którzy próbowali spisać przesady walijskie przez ostatnie pół wieku. Same książki są jednak niebywale rzadkie, zaś pisarze cytujący je generalnie byli zadowoleni, mogąc je zacytować z drugiej ręki. Keightley [„Elfia mitologia,” 412] cytując z „Widziadeł” źle przepisuje imię autora „Edward Jones z Tiarch” i przypisuje publikację dzieła na drugą połowę osiemnastego wieku, podczas gdy została ona wydana w 1813. Cytaty Keightleya są wzięte z Crokera, który nigdy nie widział samej książki, ale usłyszał o niej od swego przyjaciela z Walii. Nie ma jej w bibliotece Muzeum Brytyjskiego, a wiadomo mi tylko o kilku jej kopiach w Walii, zaś widziany przeze mnie egzemplarz jest w Swansea. Autor tych ciekawych ksiąg był nazywany prorokiem Jonesem ze względu na swój dar prorokowania - tak powiedział mi pewien

Walijczyk z Monmouthshire. Według słów mego informatora wyróżnił się on umiejętnością przepowiadania różnych rzeczy. Proszono go na przykład o wygłoszenie kazania podczas jakiejś rocznicy czy też spotkania kwartalnego, a on odpowiadał „Nie mogę, tego dnia spadną strugi deszczu i nie będzie żadnego zebrania.” Oddawał on ostatni grosz potrzebującym i mówił żonie: „Bóg ześle posłańca z jedzeniem i szatami jutro o dziewiątej.” I tak się działo. „Był on osobą głęboko wierzącą w walijskie elfy, zaś w głębokiej pogardzie miał wszystkich, którzy śmieli kwestionować ich istnienie. Dla niego te widma były nieodłączną częścią chrześcijaństwa, a ludzie nie wierzący w nie byli potępiani jako Saduceusze i innowiercy.

III.

Jeśli idzie o elfie kręgi to Jones twierdził, że Biblia nawiązuje do nich, np. w Ewangelii św. Mateusza. „Elfy tańczą w kręgach w suchych miejscach; a Pismo mówi, że ścieżka złych duchów wiedzie przez suche miejsca.”¹⁷ Preferują dąb, a szczególnie jego żeńską¹⁸ odmianę, częściowo ponieważ ma on szerzej rozpościerające się gałęzie i głębszy cień, a częściowo z powodu „przesądów związanych z tym drzewem wywodzących się z dawnych czasów druidów. Wcześniej niebezpiecznym było ścinać żeński dąb w suchym miejscu. „Niektóre z nich miały jakoby tracić przez to życie, poprzez dziwny ból, na który nie było żadnego leku; tak zginął jeden z moich przodków; ale teraz ludzie są mądrzejsi i silniejsi w wierze, więc ten efekt nie ma już na nich wpływu.” William Jenkins był przez długi czas nauczycielem w kościele Trefethin w Monmouthshire, a wracając do domu późnym wieczorem, często widywał elfy pod dębem w obrębie dwóch do trzech pól od kościoła. Częściej widywał je w piątkowe wieczory niż kiedykolwiek indziej. Pewnego razu poszedł zbadać ziemię dookoła dębu i znalazł tam czerwony krąg, w którym elfy tańczyły - „taki, jaki często widywano pod żeńskim dębem zwanym Brehin-bren.” Najczęściej była ich nieparzysta ilość, jeden, trzy czy pięć, a częściej byli to mężczyźni niż kobiety. Thomas William Edmund z Hafodafel, „szczerzy i bogobojny mężczyzna, który często je widywał,” stwierdził, że często pojawiał się pośród nich jeden większy, który przewodził całej grupie. Słyszano je również jak rozmawiały głośno i jazgotliwie, nie dało się jednak rozróżnić słów. Wydawały się jednak być bardzo gadatliwą rasą, do tego stopnia, że w niektórych częściach Walii używa się powiedzenia „Ni chytunant hwy mwy na Bendith eu Mammau” (Nie potrafią oni znaleźć lepiej porozumienia niż elfy).

IV.

To stwierdzenie dotyczące tajemniczego języka elfów przywołuje ponownie średniowieczną historię o Elidurusie. Przykład elfickich słów podanych przez Giraldusa uważana jest przez uczonego lektora Llanarmon [czcigodny Peter Roberts, „Popularne kambryjskie antyki,” 195. (1815)] za mieszankę irlandzkiego i walijskiego. Litera U, którą zaczyna się każde słowo, jest prawdopodobnie przykładem niejasnego dźwięku podobnego do niemego E we francuskim, a których te, których języki są pospolite, często nie rozróżniają prefiksów słów. Jeśli zatem czyta się je jako dor dorum i halgein dorum, dor i halgein to prawie dwr (albo, idąc za ich wymową, door) i halen, czyli odpowiednio walijskie słowa na wodę i sól. Dlatego też dorum oznacza „podaj mi”, a irlandzkim wyrażeniem na „podaj mi” jest thorum, zaś walijskim dyro i mi. Kolejność słów jest jednak odwrócona. Powinna ona wyglądać tak: thorum dor i thorum halen po irlandzku, a po walijsku dyro i mi ddwr oraz dyro i mi halen, została jednak możliwe odwrócona intencjonalnie przez narratora, aby uczynić opowieść jeszcze bardziej niesamowitą. [Supra, str. 67]

V.

Koń odgrywają bardzo aktywną rolę w walijskich opowieściach o elfach. Nie tylko jego szkielet służy Mary Lwyds i temu podobnym, jego duch przemieszcza się. Walijskie elfy wydają się bardzo lubić jazdę konną. Pewna stara kobieta z doliny Neath powiedziała panu Williamsowi, który zaś przekazał to Thomasowi Keightleyowi że widziała setki elfów jadące na małych, białych koniach, nie większych od psów, jadące po cztery w rzędzie. Świtało już, a konne elfy przemknęły całkiem blisko niej, tak naprawdę mniej niż ćwierć mili. Inna staruszka zapewniała, że jej ojciec często widywał elfy jadące w powietrzu na małych białych koniach, jednak nigdy nie widział aby zstępowały one na ziemię. Słyszał ich muzykę rozbrzmiewającą w powietrzu, gdy galopowały koło niego. Istnieje tradycja pośród chłopstwa z Glamorgan o elfiej bitwie stoczonej na górze pomiędzy Merthyr i Aberdare, podczas której mali wojownicy starli się ze sobą konno. Najwyraźniej były dwie armie, jedna dosiadała mlecznobiałych koni, druga czarnych. Jechały na siebie z największą furją, a ich miecze błyskały w powietrzu jak scyzoryki. Armia na białych konikach zwyciężyła i rozgromiła wrogie siły na polu bitwy. Cała ta scena zniknęła wtedy w zbierającej się mgle.

VI.

W rolniczych regionach Walii elfom przypisuje się mnogość użytecznych zwierząt, a walijski folklor, zarówno współczesny jak i średniowieczny obfituje w opowieści traktujące o bydłe, owcach, koniach, drobiu, kozach i innych zwierzętach z wiejskiego życia. Tak właśnie opisuje się cudowne klacze z Teirnyon, które żrebiły się każdego pierwszego maja, ale których żrebię było zawsze zabierane i nikt nie wiedział dokąd; Ychain Banog, lub też wielkiego wołu, który wyciągnął potwora wodnego z zaczarowanego jeziora, a jego ryk rozbijał skały w pył; baranki św. Melangella, które najpierw były zajęcami biegającymi pod szatami dobrego świętego; elfie bydło należące do Gwraig Annwn; elfie owce Cefn Rhychdir, które powstały z ziemi i zniknęły uniesione do nieba; nawet elfie świny, które koszący siano ludzie z Bedwellty dostrzegli jak latały w powietrzu. Nawiązano już do niektórych z tych tradycji, o innych jeszcze zostanie coś wspomniane. Walijskie owce górskie biegają jak jelenie i skaczą ze skały na skałę jak kozy górskie; a jeśli idzie o Walijskie świny, to w kambryjskiej opowieści romantycznej są one bardziej znane niż prawie każde inne zwierzę. Dlatego opowieść przekazana przez czcigodnego Rogera Rogersa z gminy Bedwellty nie brzmi tak absurdalnie w Walii jakby mogła brzmieć gdzie indziej. Mówi ona o znamienym i dziwnym widoku, jaki widziały dwie córki Lewisa Thomasa Jenkinsa, opisane jako cnotliwe i dobre młode kobiety, zaś ich ojciec jako wpływowy właściciel ziemski. Widziały to nie tylko one, ale również służący i służąca oraz dwóch sąsiadów, mianowicie Elizabeth David i Edmund Roger. Cała ta szóstka pewnego dnia przygotowywała siano na polu zwanym Y Weirglodd Fawr Dafolog, gdy nagle wyraźnie spostrzegli jak spod ziemi wyrosła grupka elfów pod postacią

owiec, to samo stało się na wzgórzu oddalonym o milę na wzgórzu zwanym Cefn Rhychdir, i wkrótce elfie stado zniknęło z oczu jakby się rozpuściło w powietrzu. Później tego samego dnia cała ta grupa elfów ponownie została zauważona przez pracujących ludzi, ale tym razem dla dwojga ludzi ukazały się jako owce, innym jako charty, jeszcze innym jako świnie, a reszcie jako nagie dzieci. W tym miejscu czcigodny Roger stwierdza:

„Synowie niewierności są w wielkim błędzie nie wierząc w świadectwa tak wielu świadków.” [Jones „Widziadła,” 24.]

VII.

Jak potwierdzono walijskie owce to jedyne zwierzęta, które jedzą trawę z elfich kręgów, wszystkie inne stworzenia unikają jej, zaś owce jedzą ją chciwie, a stąd bierze się wyższość walijskiej baraniny nad baraniną z wszystkich innych regionów świata. Prorok Jones mówi i elfiej owczarni, którą on sam widział - przypadek, któremu trzeba nadać odpowiednią wagę jak spostrzeże rozsądny czytelnik, ponieważ pan Jones nieczęsto miał okazję samemu widywać gobliny. Wierzy on w nie z całego serca, ale zazwyczaj to jego przyjaciel czy znajomy je widział. W tym przypadku zatem wyjątek szczególnie się wyróżnia. Oto jak opisuje on to zdarzenie¹⁹ :

Jeśli ktokolwiek myśli, że jestem zbyt naiwny w tych sprawach, i że mówię o rzeczach, których nigdy sam nie doświadczyłem, to muszę mu powiedzieć, że jest w błędzie. Będąc bowiem bardzo małym chłopcem podczas podróży z ciotką wczesnym rankiem, ale po świtanie z Hafodafel w kierunku domu mego ojca w Pen-y-Llwyn na końcu górnego pola Cae'r Cefn, ...zobaczyłem coś na kształt owczarni o drzwiach skierowanych na południe, ...wewnątrz zaś grupę wielu ludzi. Niektórzy siedzieli, niektórzy wchodzili, inni wychodzili pochylając głowy pod gałęzią nad drzwiami. ... Dobrze pamiętam twarz będącej pomiędzy nimi urodziwej kobiety w wysokim kapeluszu i czerwonej kurtce, która wyglądała lepiej niż cała reszta, a którą tamci wydawali się czcić. Ciągle mam przed oczyma jej białą twarz i dobrze ukształtowane oblicze. Mężczyźni nosili białe krawaty... Zastanawiałem się czemu idąca przede mną ciotka nie patrzy w ich stronę, bowiem zbliżaliśmy się tam. Jeśli o mnie idzie, to pragnąłem z nimi porozmawiać w jakiś sposób, a gdy powiedziałem ciotce co widziałem, ta się zadumała i

stwierdziła, że musiało mi się to przyśnić... W tamtym miejscu nie było żadnej zagrody. W rzeczy samej są tam ruiny jakiejś starej budowli, prawdopodobnie zagrody, ale tak starej, że kamienie praktycznie już się zapadły i zniknęły pod warstwą ziemi i trawy.”

Opowieść ta przez długi czas była uważana za kwestię sporną przez tych, którzy wierzyli w widma z Cambrii, jednak jest coś do powiedzenia w sprawie wątpliwości. Zgadza się, że czcigodny Edmund Jones, rozłamowy duchowny, był szczerym dżentelmenem, który chciał powiedzieć prawdę, jest ciągle możliwym, że pan Neddy Jones, chłopak, mógł zrobić to samo co każdy inny chłopak - przerysować sytuację. Prawdopodobnie widząc grupę cyganów (albo może w ogóle nic nie widząc) ubrał swą opowieść w takie słowa, by wszystkich zadziwić, jak to zwykle robią chłopcy. Mówienie zmyślonej opowieści tak długo, aż się w nią samemu wierzy jest szeroko znanym zjawiskiem mentalnym.

VIII.

Jedyna inna sytuacja podana przez proroka Jonesa pochodząca z jego własnego doświadczenia jest jeszcze bardziej wątpliwa, jeśli idzie o szczegóły, niż ta poprzednia, a miała ona jakoby mieć miejsce, gdy dorósł on już do rozważnego wieku. Wydaje się, że zbłądził on przez Starą Kobietę z Góry na Llanhiddel Bryn blisko Pontypool - obszar, którą doskonale znał, a który był nie dłuższy niż na półtora mili i szerszy niż pół mili. Jednak przez to że zbłądził, przybył pod dom, w którym jeszcze nigdy wcześniej nie był, a ponieważ był głęboko poruszony przez to osobliwe zdarzenie, „zaoferował pomodlić się za nich, na co oni przystali... Miałem wtedy prawie dwadzieścia trzy lata i zaczynałem właśnie nauczać wiecznej ewangelii. Wydawali się oni podziwiać fakt, że tak młoda osoba może być ciepło usposobiona, gdyż mało ludzi w moim wieku było wtedy w Walii religijnych. Wiele dobrego przydarzyło się temu domowi i ciągle coś nowego się dzieje. ...Oto w jaki sposób stara wiedźma nie zyskała nic na zwodzenia mnie z dobrej drogi.”

ROZDZIAŁ IX

POBOŻNOŚĆ JAKO OCHRONA PRZED ZAKUSAMI TYLWYTH TEG

Różne egzorcyzmy - Pianie koguta - Imię Boga - Odgradzanie elfów - Stara Betty Griffith i jej barykada z jałowca - Sposoby pozbywania się Tylwyth Teg - Bwbach z farmy Hendrefwar - Mieszkanie Pwca Trwyn w dzbanie drożdży.

I.

Przesadna pobożność codziennych spacerów i rozmów Jonesa mogła być przyczyną tego, dlaczego widział tak mało goblinów, a w konsekwencji przyczyną tego dlaczego, w większości jego opowieści elfy, są opisane jako przychodzące od innych ludzi. Wartość ogólnego zwyczaju pobożności jako środka do pozbycia się elfów została już wspomniana. Te bardziej przyziemne egzorcyzmy jak wyciągnięcie noża o czarnej rękojeści, czy odwrócenie czyjejs kurtki na lewą stronę są pomijane przez proroka jako trywialne, jednak student komparatystyki folkloru nie uznaje ich za takie. Ostatni ze wspomnianych jest popularny wśród Murzynów z południa w Stanach Zjednoczonych. Te bardziej duchowne egzorcyzmy są jednak nie mniej interesujące niż inne. Pierwszym pośród nich jest wymówienie imienia Boga, wymienione jest również pianie koguta w kontekście historii naszego Zbawiciela. Jones podaje wiele przykładów, które kończą się w taki sposób jak przytoczona tu opowieść:

Rees John Rosser, urodzony w Hendy, w gminie Llanhiddel, bardzo religijny młody człowiek, poszedł pewnego ranka bardzo wcześnie, by nakarmić wołu w stodole zwanej Ysgubor y Llym, a po nakarmieniu go położył się na sianie by odpocząć. Leżąc tam usłyszał odgłosy zbliżającej się muzyki, aż nagle do stodoły wkroczyła duża grupa elfów. Nosiły one ubrania w paski, niektóre w radośniejszych kolorach niż inne, ale wszystkie ogólnie radosne, i wszystkie one tańczyły do muzyki. Mężczyzna leżał tam najciszej jak mógł myśląc, że go nie zauważą, jednak jeden z nich go wyszedł, kobieta, która przyniosła poduszkę w paski z czterema frędzlami, po jednym w każdym rogu, którą włożyła mu pod głowę. Po pewnym

czasie w domu Blaen y Cwm zapiał kogut, na dźwięk czego elfy wydały się być zaskoczone i rozgniewane, zabrano mu szybko poduszkę spod głowy, a istoty zniknęły. Duchy mroku nie lubią piania koguta, ponieważ wskazuje ono na zbliżający się poranek, kochają one bowiem mrok a nie światło... Zauważono również kilkakrotnie, że elfy nie mogą znieść dźwięku imienia Boga. Pewien współczesny walijski kaznodzieja (ale taki, którego przekonania stoją w zdecydowanej sprzeczności z tymi Jonesa) zauważył: „Kogut zna się doskonale na sprawach dzieci Adama, jego przenikliwy głos o poranku jest wystarczającym nakazem dla każdego ducha, goblina, widma, elfa, bwci i widziadła, by uciekły one do swojego złudnego świata, martwiąc się o swe życie nim światło dnia pokaże ich pustkę i skaże je na wstyd i hańbę. [Czcigodny Robert Elis w „Manion Hynafiaethol” (Treherbert, 1873.) Shakespeare wprowadza ten przesąd w Hamlecie w takim sposób:

Ber. Już miał przemówić, gdy zapiał kogut.
Hor. A wtedy zaczął on jak winny
przy strasznym wezwaniu

[„Hamlet,” Akt I, sc. I]

Jednakże opinia, że duchy odlatują na dźwięk piania koguta jest przestarzała. Chrześcijański poeta Prudentius (czwarty wiek naszej ery) wspomina o tym jak o tradycji wspólnej wiary. [Brad. „Popularne antyki,” II, 31] Jeśli idzie o efekt imienia Boga jako egzorcyzmu, to ciągle natykamy się na ten przesąd, coś żywego w naszych czasach, tak samo jak wszędzie, gdzie współczesny „spirytyzm” znajduje wierzących. Szkody wyrządzone podczas „seansów spirytystycznych” przez „złe duchy” są dobrze znane tym, którzy poświęcili trochę uwagi temu tematowi. Świętej pamięci Fitzhugh Ludlow opowiedział mi kiedyś rozemocjonowany o rezultatach jego próby przegnania złego ducha, który opętał żeńskie „medium” poprzez zmuszenie jej do wymówienia imienia Jezusa. Robiła błędy i jękała się podczas tego testu w najbardziej wstydliwe z

możliwych sposobów, aż w końcu wyszła z transu nie wypowiedziawszy świętego imienia, zaś zły duch uciekł. Miało to miejsce w Nowym Jorku w 1867. Jak wielu innych, którzy potwierdzali swój brak wiary w spirytyzm, pan Ludlow był wielce zaintrygowany tym zjawiskiem.

Studenci komparatystyki klasyfikują wszystkie takie manifestacje pod wspólną nazwą, nieważne czy są one związane z mediami duchów, czy z elfami. Szukają oni ich korzeni w tym samym źródle, z którego bierze się idea zjednywania sobie elfów eufemistycznymi imionami. W użyciu takich imion jak Jehowa, Wszechmogący, Najwyższy Byt i tak dalej dla określenia przerażającego i mściwego Boga z teologii żydowskiej, będącym oryginalnie próbą ominięcia wymawiania imienia Boga, łatwo dostrzec wypędzającą moc tego imienia nad wszystkimi złymi duchami, a za takie zazwyczaj uważano elfy. Tutaj również, przynajmniej tak się przyjmuje, zaprezentowane jest ostateczne źródło horroru świeckiego języka, które jest mocno rozpowszechnione pośród Purytan z Anglii i Ameryki. Podobnie imię diabła zastąpione jest eufemizmami, a niektóre z nich - jak na przykład Stary Chłopiec - nie są z rodzaju tych, które by mogły obrazić omawianą postać, a do niedawna słowo diabeł było uważane za prawie tak obraźliwe jak słowo Bóg jeśli używano go w świeckim kontekście.

II.

Popularną obroną przed wtargnięciami elfów był kolczasty janowiec²⁰, bardzo popularny w Walii. Wierzy się, że elfy nie mogą przejść przez płot bądź żywopłot zrobiony z tego kolczastego krzaku. Opowieść ilustrująca, a przy tym mająca wiele ciekawych szczegółów, została podana w 1871 przez ważnego mieszkańca Anglesea: [Hon. W.O. Stanley, w „Notkach i Zapytaniach”] „Pewnego dnia jakieś trzydzieści lat temu, pani Stanley poszła do jednego ze starych domów zobaczyć się z pewną starą kobietą, którą często odwiedzała. Była to wyniszczona chatka, tak nienaturalnie ciemna, że wołała ona od progu na starą Betty Griffith, a nie otrzymawszy odpowiedzi weszła do pokoju. Jedno małe okienko o jednej szybie dawało wątłe światło. Kilka kawałków żaru w marnym palenisku również rzucało trochę światła, które pozwoliło jej zobaczyć gdzie kiedyś stało łóżko, we wgłębieniu. Ku jej zaskoczeniu spostrzegła, że było ono całkowicie odgródzone barykadą z gęstego jałowca, tak dobrze rozłożonego, że nie dało się zobaczyć łóżka. Ponownie zawołała Betty Griffith, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Rozejrzała się po zabałaganionym pokoju, ale jedynym objawem życia był Wędrowny Żyd (skalnica trójkolorowa), nazywana tak przez biednych, i często widziana w ich oknach. Była ona zasadzona w rozbitym słoiku czy kociołku na herbatę na oknie, rozkładała dookoła swe długie gałązki, a tu i tam nowo stworzona roślina wydawała się pobierać pożywienie z samego powietrza. Gdy tak stała zaskoczona żalosną biedą tego ludzkiego schronienia, dobiegło do niej nagle westchnienie zza jałowca. Podeszła blisko i spytała

- Betty, gdzie jesteś?

Betty natychmiast rozpoznała jej głos i poczęła odwraca się od ściany. Wtedy pani Stanley zrobiła mały otwór w barykadzie z jałowca, który ukłuł ją w palce. Zobaczyła Betty w jej łóżku i spytała:

- Czy coś jest nie tak? Czy jest ci tak zimno, że się aż tak odgrodziłaś?

- Zimno! Nie, to nie zimno, pani Stanley. To Tylwyth Teg, one nigdy nie zostawią mnie w spokoju, siedzą tam strojąc do mnie miny i próbując się do mnie dostać.

- No racja, och, chciałabym je zobaczyć Betty.

- Chcesz je naprawdę zobaczyć? Nawet tak nie mów.

- Ależ Betty, one muszą być urodziwe i dobre.

- Dobre? One nie są dobre.

Do tego czasu staruszka się zdenerwowała, a pani Stanley wiedziała, że usłyszy od niej więcej o elfach, dlatego też powiedziała:

- Cóż, pójdę sobie, nigdy nie przyjdą jeśli będę tu siedzieć.

- Nie, nie idź. Nie wolno ci mnie zostawić - odpowiedziała ostro stara Betty. - Opowiem ci o nich. Ach! Przychodzą i nawiedzają mnie. Jeśli nie śpię, to siadają na stole, sprawiają, że mleko kwaśnieje i rozlewają herbatę, potem nie chcą mnie zostawić w spokoju w moim łóżku, ale otaczają mnie ze wszystkich stron i drwią ze mnie.

- Ale Betty, powiedz mi po co ci ten janowiec? Musiało być strasznym problemem złożyć to wszystko tak ciasno.

- Czyż nie odstrasza ich to? Nie mogą przez to się przedrzeć, tak bardzo je to kłuje, a dzięki temu ja mogę odpocząć.

Pani Stanley położyła janowiec na miejsce i opuściła starą Betty Griffith z jej próbą pozbycia się Tylwyth Teg.”

III.

Częstym sposobem pozbycia się elfów jest zmiana miejsca zamieszkania, elfi lud nie pozostanie w domu, który zmienia właściciela. Pewien farmer z Merionethshire który, będąc gnębionym ponad wytrzymałość przez Bwbach tego psotnego rodzaju, z wahaniem zdecydował się zmienić dom. Najpierw jednak udał się do mądrej kobiety z Dolgelly, która poradziła mu, żeby udał wyprowadzę, co dałoby taki sam efekt. Musiał tylko rozgłosić, że wyprowadza się za granicę, do Anglii, a potem zebrać bydło i swoje dobra, po czym wyruszyć na jednodniową podróż dookoła Arenig. Elfy z pewnością opuszczą dom gdy tylko farmer go opuści, a z pewnością dałoby to koniec urodzonego Cymro, który poprzysiągł, że osiedli się w obcym Sais. Wtedy kłamca mógłby powrócić do swego konia inną drogą, a dokuczliwych Bwbach już by nie było. Farmer zrobił jak mu radzono i wyruszył w podróż, prowadząc przed sobą swe bydło i owce i ciągnąc za sobą wózek, na który załadowane były jego meble, a który z tyłu pchali jego żona i dzieci. Gdy dotarł do Rhyd-y-Fen, brodu nazwanego tak na potrzeby tej legendy, spotkali sąsiada, który wykrzyknął:

- Witajcie, Dewi, czyżbyście opuszczali nas na dobre?

Zanim farmer zdążył odpowiedzieć, przenikliwy głos z maselnicy na wozie odpowiedział:

- Tak, tak, przeprowadzamy się z Hendrefawr do Eingl-dud, gdzie jest nasz nowy dom.

To przemówił Bwbach. Jechał on wraz z rzeczami z domu, a mały plan farmera aby się go pozbyć okazał się być kompletną klapą. Dobry człowiek westchnął, po czym odwrócił konie i wrócił do domu tą samą drogą, którą stamtąd odszedł.

IV.

Sławny Pwca z farmy Trwyn w gminie Mynyddyslwyn przybył tam ze swego pierwszego schronienia w Pantygasseg w dzbanie drożdży. Jeden ze służących na farmie sprowadził dzban do Pantygasseg, a gdy napełniano ten dzban drożdżami, usłyszano słowa Pwca:

- Pwca odchodzi teraz w swoim dzbanie drożdży i już nigdy nie wróci.

I już nigdy nie słyszano o nim w Pantygasseg. Inna historia mówi, że służący upuścił kulę przędzy w dół zbocza, którego podstawę oblewały dwa stawy z rybami pomiędzy Hafod-yr-Yny i Pontypool, a Pwca powiedział:

- Idę w tej kuli, pójdę do Trwyn i już nigdy nie wrócę.

I widziano jak stoczyła się ona po zboczu i potoczyła przez dolinę, wdrapując się na wzgórze po drugiej stronie i przetaczając się szybko przez szczyt górski do swego nowego domu.

ROZDZIAŁ X

ELFIE PIENIĄDZE I ELFIE DARY

OGÓLNE

Historia Gitti Bacha, albo Małego Griffitha - Kara bełkotu -
Legendy o pasterza z Cwm Llan - Wartość uprzejmości w złości
- Ianto Llewellyn i Tylwyth Teg - Legenda o Hafodzie Lwyddogu
- Lekcje wpajane przez te przesady.

I.

To jest elfie złoto, chłopcze, zobaczysz - mówi stary pasterz w *Zimowej Opowieści*. Dodaje przy tym mądrze - Zabierz je, trzymaj je blisko. Dom, dom, oto jak będziemy szczęśliwi, a żeby to trwało, potrzeba po dochować tajemnicy. [„Zimowa Opowieść”, akt III, sc. 3.]

Oto tradycyjne wierzenie walijskiego prostego ludu podane w pigułce. Elfie pieniądze są tak dobre jak każde inne, przynajmniej tak długo jak jego źródło pozostaje okryte tajemnicą; jeśli znalazca podzieli się z kimś szczegółami tego jak stał się bogaty, jego złoto zniknie. Czasami - szczególnie w sytuacjach gdy pieniądze zostały wydane - negatywnym rezultatem wyjawienia tajemnicy jest brak dalszych tego typu przysług ze strony elfów. To samo prawo dotyczy zresztą wszelkiego rodzaju darów od tych stworzeń. Pewna legenda z Breconshire mówi o hojności Tylwyth Teg w rozdawaniu pośród chłopstwa bochenków chleba, które następnego dnia przemieniały się w muchomory. Aby ta przemiana nie miała miejsca, konieczne było zjedzenie chleba w ciszy i mroku. Historia Gitto Bacha, całkiem dobrze znana w Walii, jest tego obrazowym przykładem.

Gitto Bach (mały Griffith), syn pewnego dobrego farmera z Glamorganshire, zwykł często wychodzić w góry by doglądać owiec swego ojca. Po swym powrocie do domu pokazywał on swoim braciom i siostrze kawałki wyjątkowo białego papieru, podobnego do kawałka korony. Były na nich wybite litery, a zostały mu one podarowane przez małe dzieci, z którymi chłopiec bawił się w górach. Pewnego dnia nie powrócił on do domu. Przez dwa lata słuch po nim zaginął. W międzyczasie inne dzieci również od czasu do czasu przynosiły z gór kawałki papieru. Pewnego ranka gdy matka Gitto otworzyła drzwi,

zobaczyła swojego zaginionego syna, ubranego dokładnie tak samo jak w dniu kiedy widziała go po raz ostatni. Dwa lata temu. Pod pachą trzymał on małą paczkę.

- Gdzieś ty się podziewał? - spytała matka.

- Cemu pytasz? Przecież ledwie wczoraj wyszedłem z domu!

- westchnął Gitto. - Spójrz jakie ładne ubrania podarowały mi dzieci w górach za tańczenie z nimi do muzyki harf.

Z tymi słowy rozwinął paczkę i pokazał jej przepiękny strój, a ten nagle zamienił się w papier, tak jak elfie pieniądze.

II.

Jednak zwykle w całej Walii karą za gadatliwość jest zaprzestanie elfiej przychylności. Z pewnym mostem w Anglesea powiązana jest legenda o pewnym młodzieńcu, który często widywał tam elfy i korzystał i ich hojności. Każdego ranka idąc sprowadzić krowy ojca z pastwiska chłopak spotykał te stworzenia, a gdy one znikwały, on zawsze znajdował trochę pewnego kamienia z Mostu Cymmunod. To że chłopiec tak często miał przy sobie pieniądze bardzo zaniepokoiło jego ojca, tak że w pewien sabat przepytął on młodzieńca w sprawie źródła jego dochodów. Ech, to wścibstwo ojców! Oczywiście jego biedny syn przyznał się, że pochodzą one od elfów i oczywiście choć często potem szedł na tamto pole, to już nigdy nie znalazł pieniędzy na moście, ani nie spotkał obrażonych elfów. Ponieważ wydał się jego sekret, utracona została ich przychylność.

Jones opowiada podobną historię o pewnej młodej kobiecie zwanej Anne William Francis z gminy Bassalleg, która idąc w nocy do małego zagajnika w pobliżu swego domu usłyszała przyjemną muzykę i zobaczyła tańczącą pośród traw grupkę elfów. Zniosła tam wiadro wody myśląc, że to je zadowoli. Kiedy udała się tam następnym razem, otrzymała szylinga, „i tak to się ciągnęło aż otrzymała dwadzieścia jeden szylingów.” Jednak jej matka przez przypadek znalazła pieniądze i wypytала swą córkę co do ich źródła, bojąc się, że mogły one zostać ukradzione. Z początku dziewczyna nie chciała powiedzieć, ale gdy matka „stała się dla niej surowa” i zagroziła jej biciem, ta przyznała się, że pieniądze dostała od elfów. Po tym wydarzeniu już nie otrzymała od nich nic. Prorok dodaje: „Słyszałem o innych miejscach gdzie ludzie otrzymywali pieniądze od elfów, czasem srebrną szczęściopensówkę, ale

najczęściej miedzianą monetę. Ponieważ nie potrafią one tworzyć pieniędzy, musi to bezsprzecznie być gotówka zgubiona albo ukryta przez ludzi.” Spłylenie tej opowieści nie pasuje do lubującego się w cudach Jonesa.

III.

W legendach o dwóch pasterzach z Cwm Llan i ich przygodach z elfami pierwsza z nich zajmuje się sprawą tajemnicy, a druga powieli podejmowany często temat wartości uprzejmości wyrażonej w złości. Ta pierwsza brzmi tak:

Pewnego wieczoru pasterz, który szukał swych owiec na zboczu Nant y Bettws, po przekroczeniu Bwlch Cwm Llan wyszedł grupkę małych ludzi podczas śpiewów i tańców, oraz towarzyszące im najpiękniejsze damy jakie dane mu było widzieć w życiu, które przygotowywały ucztę. Człowiek zbliżył się do nich i poczęstował się jedzeniem, a nie jadł nigdy niczego tak wybornego jak podane tam dania. Gdy nastał wieczór, rozbili oni namioty, a pasterz nigdy nie widział jeszcze tak wspaniałych przedmiotów. Dano mu łóżko z materacem wypchanym miękkim pierzem oraz prześcieradło z najwyższej jakości płótna, a on udał się na spoczynek godny księcia. O poranku okazało się, że jego łóżko było tylko krzakiem oczeretu, a za poduszkę służyła mu kępka mchu, jednakże w butach znalazł kilka srebrnych monet, a potem przez długi czas co tydzień znajdował kolejną taką monetę umieszczoną pomiędzy dwoma kamieniami, w miejscu gdzie leżał. Pewnego dnia niestety wyjawiał on swój sekret innemu człowiekowi i już nigdy nie znalazł więcej srebra.

W pobliżu Xwm Llan mieszkał inny pasterz, który usłyszał dziwne dźwięki dochodzące ze szczeliny skalnej, a podchodząc bliżej by zobaczyć co jest ich źródłem, odnalazł tam samotną postać, która gorzko płakała. Wydobył ją stamtąd i spostrzegł, że było to elfie dziecko, a gdy patrzył na nie ze współczuciem, podeszła do niego dwójka mężczyzn w średnim wieku, którzy podziękowali mu dwornie za jego uprzejmość, a na odchodnym obdarowali go laską na pamiątkę tego spotkania.

W następnym roku każda owca, którą posiadał, urodziła mu dwa jagnięta. Rozmnażały się one w takim tempie przez dalsze lata, ale pewnej ciemnej i burzowej noc mężczyzna zbyt długo zabawił we wsi, a podczas próby przekroczenia rzeki spływającej z Cwm Llan, która w tamtym czasie była niezwykle wezbrana, upuścił swą łaskę i już jej nie znalazł. O poranku okazało się, że prawie wszystkie jego owce i jagnięta, tak jak i jego kij, zostały zabrane przez przetaczającą się falę powodzi. Utracił swój majątek w taki sposób, w jaki go otrzymał - poprzez prezent otrzymany od strażników elfiego dziecka.

IV.

Pewien Walijczyk z Pembrokeshire opowiedział mi tę historię twierdząc, że jest to szeroko rozpowszechniona w jego kraju tradycja. Ianto Llewellyn był człowiekiem mieszkającym w gminie Llanfihangel nie dalej niż pięćdziesiąt do osiemdziesięciu lat temu, a który miał bardzo ważny powód by wierzyć w elfy. Miał on w zwyczaju z czystej dobroci serca każdej nocy rozpalać ognisko do którego dorzucał węgla na wypadek gdyby któryś z Tylwyth Teg chciał się ogrzać. Dobrze wiedział, że przychodziły one do niego każdej nocy do kuchni, bowiem często je tam słyszał. Pewnej nocy gdy jak zwykle tam przesiadywały, Ianto nie mógł zasnąć i podsłuchiwał jak mówiły:

- Chciałbym, żebyśmy mieli tutaj trochę dobrego chleba i sera w tę zimną noc, ale ten biedak ma już tylko jego kawałek, a chociaż my byśmy się tym najedli, jemu wystarczy to tylko na jeden kęs, to zabierając mu to, skazemy go na głodowanie.

- Weźcie wszystko, czego pragniecie z szafki w kuchni! - krzyknął mężczyzna tak głośno jak tylko mógł, po czym przewrócił się na drugi bok i zasnął.

Następnego poranka poszedł on do kuchni w nadziei że znajdzie w szafce trochę okruchów. Otworzył drzwi i wykrzyknął:

- O'r anwyl! A co to?

Znalazł tam bowiem najlepszy ser jaki widział w swoim życiu, a na nim leżały dwa bochenki chleba.

- Lwc dda i ti! - wykrzyknął Ianto machając ręką w stronę lasu, gdzie jak wiedział żyły elfy. - Powodzenia! Obyście nigdy nie były głodne ani bez grosza przy duszy!

Jeszcze nie skończył wypowiadać tych słów, a spostrzegł - jak myślicie, co? - szyling na kuchni, a była to szczęśliwa moneta. Co rano po tym wydarzeniu gdy pasterz wstawał z łóżka, na

piecu znajdował kolejnego szylinga, bowiem poprzedniego, wyobraźcie sobie, wydał na piwo i tytoń do sera i chleba. Dość powiedzieć, że od tego czasu nie było w gminie tak majątnego człowieka jak on, chociaż nigdy nie kiwnął on palcem. Miał na tyle pieniędzy, by jego żonie żyło się dobrze i dostatnio. Nadano mu imię Szczęśliwy Ianto i pewnie cieszyłby się tym szczęściem aż do końca swych dni, gdyby nie ciekawość kobiety. Jego żona Betsi uparła się żeby dowiedzieć się skąd się biorą te wszystkie pieniądze i nie dawała biedakowi spokoju.

- Wel, naw wfft! - krzyczała, co po angielsku oznacza „Dziewięć nieszczęść na ciebie!” - Utrzymujesz coś złego w tajemnicy przed swą dobrą żoną!

- Ale Betsi, przecież jeśli ci powiem, to już nigdy nie dostanę więcej pieniędzy.

- Ach, zatem to elfia sprawka!

- Drato! - rzucił, co oznacza „a niech to.” - Tak, elfia.

Z tymi słowy wbił posępnie ręce do kieszeni swych bryczesów i wyszedł z domu. Aż do tego momentu miał przy sobie siedem szylingów, ale gdy sięgnął by ich dotknąć, okazało się że zniknęły. W ich miejsce pojawiły się kawałki papieru nadające się tylko do rozpalania jego fajki. Od tego dnia elfy nie przyniosły mu już żadnych pieniędzy.

V.

W legendzie o Hafod Lwyddog lekcja o hojności jest pokazana prosto i dobitnie, za to odrzucona jest konieczność dochowania tajemnicy. Ponownie bohaterem jest pewien pasterz mieszkający w Cwm Dyli, który każdego lata wychodził z domu, by żyć w swej chacie nad Zielonym Jeziolem (Llyn Glas) razem ze swą trzodą. Obudziwszy się pewnego ranka, spostrzegł on piękną damę ubierającą tuż przy nim niemowlę. Miała bardzo mało materiału do okrycia dziecka, toteż podał jej swą koszulę i powiedział, żeby tym owinęła swą pociechę. Kobieta podziękowała i poszła swoją drogą. Każdej następnej nocy pasterz znajdował w starym chodaku srebrną monetę. Mijały lata, a Meirig stał się niesamowicie bogaty. Poślubił uroczą dziewczynę i udał się do Hafod Lwyddog, by tam z nią żyć. Czegokolwiek się nie podjął, rozwijało się nad wyraz dobrze. Stąd też nazwa miejscowości, bowiem Lwydd oznacza dobrobyt. Często w nocy przychodziły tam elfy. Żadna wiedźma czy zły duch nie śmiały szkodzić tym ludziom, gdyż na rodzinę i jej potomków spłynęło Bendith y Mammau. [„Cymry Fu,” 472]

VI.

Naturalnym jest pojawienie się myśli, że przez pielęgnowanie takich opowieści jak te już opowiedziane, daje się bandytom środki do uciszenia pytań dotyczących źródeł niegodziwego zysku. Jednak z drugiej strony bez wątpienia pod wpływem tych opowieści podtrzymywano również takie cnoty jak gościnność czy hojność. Jeśli ktokolwiek cieszył się w taki sposób przychylnością elfów, to od razu mówiono, że uczynił on dla nich coś dobrego, zazwyczaj nie wiedząc przy tym komu oddaje przysługę. W ten sposób kształtowano też w młodych kobietach i mężczyznach cnotę staranności, wierzone bowiem, że elfy zostawiają pieniądze tylko w czystych obejściach. Zostało to również uczynione warunkiem zadowolenia Tylwyth Teg, aby piec był dokładnie wyczyszczony, a w wiadrach była dla nich woda. Tylko wtedy elfy przychodziły o północy i bawiły się do rana śpiewając pieśń „Toriad y Dydd,” czy też „Świt,” zostawiały monetę i znikwały. Widzi się tutaj zabezpieczenie przed pożarem w postaci wymiecionego pieca i gotowych wiader wody. To że nie zawsze otrzymywano nagrodę nie znaczyło, że nagrody nigdy nie będzie, co kładło również nacisk na cnotę uporu.

Przesady tego typu są szeroko rozpowszechnione pośród ludów aryjskich. „Baśnie z 1001 nocy” to historia starego bandyty, którego pieniądze zostały przemienione w liście i zostanie ona przywołana później. W folklorze duńskim elfie pieniądze podarowane prostakom przemieniają się czasem w kryształki kwarcu, a czasem stają się gorące i parzą ich palce tak że ludzie je upuszczają, a te wtapiają się w ziemię.

ROZDZIAŁ XI

KORZENIE ELFÓW WALIJSKICH

Teoria realistyczna - Legenda o bramie barona - Czerwone elfy - Trwyn elf wyklęty szlachcic - Teoria o ukrywających się druidach - Kolor a ubrania elfów w Walii - Zielona dama z Caerphilly - Biel to ulubiona barwa w Walii - Legenda o płodnej kobiecie - Teoria poetycko-religijna - Credo wiary.

I.

Istnieją dwie popularne teorie tłumaczące istnienie Tylwyth Teg, jedna z natury poetycko-religijna, druga zaś praktyczna i realistyczna. Obie są dalekie prawdzie, bowiem prawdziwe pochodzenie elfów odnajdujemy w prehistorycznej mitologii, jednak ponieważ moim celem jest ustrzec się od rozwijania myśli, które powinno być dobrze znane studentom, moim zadaniem jest przedstawienie jedynie lokalnych aspektów i innych cech tego tematu.

Realistyczna teoria pochodzenia elfów musi być omawiana z szacunkiem, ponieważ pośród jej głosicieli byli ludzie rozumni i wysoce kulturalnie. Teoria ta przyjmuje, że pierwszymi elfami były kobiety i mężczyźni z krwi i kości, i że późniejsze przesady są zaledwie echem opowieści, które na początku traktowały o prawdziwych postaciach. Jako prawie poparcie tego stwierdzenia trzeba powiedzieć, że istnieje dobrze udokumentowana tradycja rasy istot, które w szesnastym wieku zamieszkiwały w lesie Wielkiego Mrocznego Drzewa (Coed y Dygoed Mawr) w Merionethshire, a które nazywano Czerwonymi Elfami. Żyły one w jamach w ziemi, miały ogniście czerwone włosy i długie, silne ramiona, a nocami kradły owce i bydło. Istnieją chatki w gminie Cemmaes, w pobliżu tego lasu, gdzie na kominach wiszą kosy mające odstraszyć te straszne istoty. W pewną wigilię waleczny rycerz zwany Baronem Owen zmierzał na pomoc grupie wojowników, którzy zaatakowali Czerwone Elfy i odkryli, że były to istoty z krwi i kości. Baron powiesił ich setkę, oszczędził jednak kobiety, zaś jedna z nich błagała o ocalenie jej syna. Baron odmówił jej prośbie, na co ta odkryła pierś i krzyknęła „ta pierś wykarmiła innych synów niż ten, a ci jeszcze skąpią ręce w twojej krwi, Baronie Owen!” Nie minęło dużo czasu a Baron został napadnięty w pewnym

miejscu przez synów „elfki, kobiety, którzy skąpali swe ręce w jego ciepłej, cuchnącej krwi, co wypełniło groźbę ich matki.” Po dziś dzień miejsce to nosi nazwę Lldiart y Barwn (Brama Barona), każdy chłop w okolicy opowie wam tę historię, ja właśnie w taki sposób się o niej dowiedziałem. Oczywiście nie ma lepszej podstawy dla elfich cech tej opowieści niż zachcianki ignoranckiego umysłu, jednak sama legenda jest - w takim kształcie całkiem blisko - bycia historyczną. Opisane istoty były grupą wyrzutków, którzy naturalną koleją rzeczy chcieli, by wiara w nadprzyrodzone wydarzenia była obecna wśród ludu.

II.

Tak zwany Pwca'r Trwyn, który nawiedzał farmę w gminie Mynyddyslwyn, jest czasem cytowany jako kolejny przypadek w którym elfy prawdopodobnie był z krwi i kości, a jeśli to byłaby prawda, to oczywiście udowadnia to nic prócz użycia starożytnego przesądu przez pewnego wyklętego walijskiego szlachcica. Istnieje tradycja mówiąca, że ten elf miał imię brzmiące „yr Arglwydd Hywel,” co po angielsku oznacza „Lord Howell.” Mówi się, że ten Lord stanął do walki z siłami króla angielskiego, został pokonany i zmuszony do ucieczki, zaś jego najemcy, kochający swego pana, pomogli mu się ukryć i rozpowszechnić wiarę, że był on elfem z gospodarstwa domowego, czy też Bwbach. Przekaz podaje, że na ogół przemawiał on ze swojego pokoju na farmie miłym głosem, który poprzez szafki przechodził do salonu poniżej. Pewnego dnia słudzy porównywali swe dłonie co do rozmiaru i bieli, gdy nagle usłyszano jak elf mówi „Ręka Pwca jest jest najpiękniejsza i najmniej.” Słudzy zapytali czy elf mógłby zatem pokazać swą dłoń i natychmiast w deska w suficie została przesunięta, po czym pojawiła się dłoń, mała, urodziwa i przepięknych kształtów, o wielkim złotym pierścieniu na małym palcu.

III.

Szczególnie interesująca jest hipoteza dotycząca realistycznego pochodzenia Tylwyth Teg, jaką zaprezentowało u końca ostatniego wieku kilku pisarzy, pośród nich czcigodny Peter Roberts, autor „Collectanea Cambrica.” Hipoteza ta precyzyjnie stwierdza, że elfy były kiedyś druidami chowającymi się przed swymi wrogami, a jeśli nie oni, to inni ludzie, którzy mieli takie powody ukrywać się w podziemnych jamach, a którzy wychodzili z nich tylko w nocy. Dr Guthrie stwierdził „jacyś podbici aborygeni”, a Mr. Roberts wyobrażał sobie, że „gdy Irlandczycy często przybywali z wrogimi zamiarami do Walii, było bardzo możliwym, iż pozostawili oni za sobą bardzo małe trupy poległych, albo też tych, którym nie udało się powrócić do domu, a którzy z obawy przed odkryciem ukrywali się za dnia w jaskiniach, a w nocy pozwalali swym przepięknie ubranym dzieciom wyjść na zewnątrz aby trochę się poruszały i zdobyły jedzenie, w ten sposób dbając o własne przetrwanie.” Pojawiło się jednak wiele sprzeciwów co do tej teorii, zaś teoria druidyczna była tą ulubioną. Mr. Roberts mówi „elfie zwyczajnie wydawały się być ewidentnie zbyt systematyczne i zbyt ogólne, aby móc pasować do przypadkowej grupy sprowadzonej do biedy. Istnieją takie, które są z natury spójne i tak uregulowane, by pomóc uniknąć odkrycia, i aby powodować strach przed ich mocami oraz wysokie mniemanie o ich dobroczynności. Idąc tym śladem tradycja podaje, że próba ich odkrycia oznacza sprowadzenie na siebie pewnej zagłady. 'To są elfy' mówi Falstaff, 'ten kto na mnie patrzy, umrze.' Nie dało się ograniczyć ich przybycia i odejścia, trzeba im było zostawiać miskę mleka na piecu na noc, zapłatą za to było trochę pieniędzy pozostawione przez nie po odejściu, o ile dom był czysty. Jeśli nie, karały one jakoś

opieszalnych, a ponieważ spojrzeć na nie oznaczało śmierć, to ludzie musieli je znosić, a bez wątpienia wiele nieszczęśliwych psot spletało przy takich okazjach. Na ogół ubierały się na zielono, aby móc się lepiej ukryć, a ponieważ ich dzieci mogły ich zdradzić podczas ich wypadów, wydaje się że ludzie musieli cierpieć za ich przyczyną tylko w nocy, zaś same elfy bawiły się przy muzyce i tańcu tylko w świetle księżyca. Tańce te, jak te wokół gaiku, według podań odbywały się wokół drzewa na wzniesieniu, pod którym znajdowały się ich domu lub wejścia do nich. Osoby starsze prawdopodobnie mieszały tak bardzo, jak to było możliwe ze światem, a jeśli kiedykolwiek je rozpoznano, pewność ich zemsty stanowiła o ich bezpieczeństwie. Jeśli z jakiegokolwiek powodu ich społeczeństwo się kurczyło, to kradły one dzieci, albo podmieniały te chorowite na silne i zdrowie. Porwane dzieci, jeśli nie były już niemowlakami, były zabierane do ich podziemnych domostw, gdzie podawano im środki nasenne i przenoszono w odległe rejony kraju. Pozwalano im wyjść na powierzchnię jedynie w nocy, toteż myliły one noc z dniem i nie wyprowadzano ich z błędu dopóki nie było pewności, że im to nie zaszkodzi. Regularność i ogólność tego systemu pokazuje, że istniała grupa ludzi żyjąca w królestwie odróżniająca się od jego mieszkańców, a będąca albo sprzymierzona, albo zmuszona żyć bądź spotykać się potajemnie. Zaś ich zwyczaje, szczególnie ten tańczenia wokół drzewa, prawdopodobnie dębu, oraz charakterystyki określane przez prawdę i prawość wskazują na ich druidyczne pochodzenie. Jeśli to była prawda, to jest to sobie łatwo wyobrazić, gdyż w rzeczy samej historia pokazuje, że podczas gdy druidzi byli prześladowani przez Rzymian i chrześcijan, używali oni właśnie takich środków do zabezpieczenia swoich i swoich rodzin, zaś ponieważ kraj nie był gęsto zaludniony, a pokrywało go wiele lasów, to im się to udawało, i to możliwe że dużo dłużej niż by się to wydawało, aż do momentu, gdy wzrost liczby ludności to uniemożliwił. Ponieważ druidyzm był jedną z najbardziej starożytnych religii, to musiał on być jedną z tych najwcześniej prześladowanych, a

przez to zmuszonych stworzyć solidny plan obrony, co może sugerować ich życie w jaskiniach.”

IV.

Można zauważyć, że jedno z twierdzeń tej intrygującej spekulacji dotyczy zielonych ubrań elfów. Nie zwracam na to uwagi pragnąc nierealnie rozważać wniosek, jaki temu towarzyszy. Jest to dużo bardziej interesujące jako jedna cecha w ogólnym temacie ubioru elfów. Elfy walijskie opisane są bardzo precyzyjnie w kwestii koloru ich ubrań, co jak już wcześniej napisałem nie jest popularne w opowieściach o tych stworzeniach. W legendzie o *Miejsu Spor* *Tylwyth Teg* zauważone przez kobietę opisane są jako „stare elfy w niebieskich halkach.” Zostało tu zasugerowane nawiązanie do błękitu nieba. Zostało również zauważone, że święty ubiór druidów był niebieski. Wyobrażenie o niebieskiej halce wydaje się pojawiać tylko w Północnej Walii. W Cardiganshire tradycja dotycząca obozu zwanego Moyddin, odwiedzanego często przez elfy mówi, że przychodziły one zawsze ubrane na zielono, i że nie widziano ich tam nigdy poza wiosennym majem. Istnieje goblin z Glamorganshire zwany Zieloną Damą z Caerphilly, a jej imię wskazuje na kolor jej ubioru. Nawiedza ona nocą ruiny zamku Caerphilly odziana w swój zielony strój, a ma moc przemiany w bluszcz i wtapiania się w bluszcz rosnący na murach. Nigdy nie wymyślono zapewne bardziej oryginalnego sposobu pozbycia się goblina. Elfy z Frennifawr w Pembrokeshire wręcz przeciwnie, były odziane obficie w szkarłat i nosiły czerwone czapki z piórami powiewającymi w tańcu. Inne były odziane na biało, i to ta barwa wydaje się być ulubioną barwą współczesnych elfów udających się na wycieczkę letnią. Oczywiście te różnorodne detale dotyczące kolorów istnieją dzięki żywości walijskiej wyobraźni, co zapewne można przypisać częściowo bardziej wyczulonemu zmysłowi dopasowania rzeczy pośród współczesnych,

rozpowszechnionego we wcześniejszych czasach. Dla Walijczyków biały naturalnie był ulubionym kolorem przepięknych stworzeń tańczących w świetle księżyca na aksamitnej murawie. Najpopularniejsze imię dla zwierzęcia dziewczynki z Walii obecnie niczym nie różni się od tego sprzed wieków, a brzmi ono Gwenny, zdrobnienie od Gwenllian (zanglizowane do Gwendoline) - imię oznaczające po prostu biały len. Bez wątpienia biały strój elfów oznacza strój z białego lnu. Materiał ten, dla nas zupełnie zwyczajny, w czasach starożytnych miał nieoszacowaną wartość. W *Mabinogionie* len jest wielokrotnie wymieniany przy opisach bajkowego bogactwa na zamku książęcym - len, jedwab, aksamit, złoto i kamienie szlachetne to stale przewijające się elementy bogatego stroju. Yorke w swoim opisie rodów królewskich z Walii wspomina, że len był tak rzadki podczas rządów Karola VII z Francji (to jest w piętnastym wieku), „że jej wysokość królowa mogła pochwalić się tylko dwiema sukienkami z tego materiału.” Stąd też da się wyciągnąć pierwszy wniosek co do bieli ubioru elfów. W Walii ten starożytny sentyment do białego jest ciągle obecny. Walijski plebs, sam odziany w ordynarne i ciemne barwy, z bieli uczynił czysto świąteczny kolor i wymyślił inne barwy dla takich pospolitych elfów jak Bwbach i jemu podobne:

Prosty i wiejski elf,
Który wciąż nawiedza piec i mleczarnię.

[Jonson, „Oberon.”]

Stąd też Bwbach jest zazwyczaj odziany w brąz i często kudłaty, a Coblynau są czarni albo w kolorach miedzi, zarówno na twarzy jak i z ubioru.

V.

Pewna lokalna legenda dotycząca pochodzenia elfów w Anglesea miesza w taki sposób to co praktyczne i duchowe: „W czasach Zbawiciela żyła kobieta, której los podarował prawie dwudziestkę dzieci, ...a gdy zobaczyła ona, że nasz błogosławiony Pan zbliża się do jej domu, a będąc tak zawstydzona swą płodnością, aby On nie mógł ich wszystkich zobaczyć, ukryła część z nich w pobliżu, zaś po jego odejściu udała się ich szukać. Wielkie było jej zaskoczenie, gdy nie znalazła ani jednego z nich. Nie udało się odnaleźć ani jednego, przyjęło się bowiem mówić, że za karę z nieba za ukrywanie tego, co dał jej Bóg, została ona pozbawiona tych dzieci a mówi się, że te jej latorośle dały początek rasie zwanej 'elfy'.”[„Przes.[21](#) Camb.,” 118]

VI.

Jednakże w Walii teorią znaną i najczęściej uznawaną jest ta poetycko-religijna. Jest to, mówiąc krótko, wiara, że Tylwyth Teg są duszami zmarłych śmiertelników, którzy nie byli na tyle źli, by trafić do piekła, ani też na tyle dobrzy, by dostać się do nieba. Są oni skazani na życie na ziemi, na mieszkanie w tajemnych miejscach aż do dnia wskrzeszenia, kiedy to będą mogli wkroczyć do raj. W międzyczasie muszą oni bez ustanku pracować albo też się bawić, tyle że ich znój nie przynosi owoców, a zabawa nie daje zadowolenia. Pewna odmiana tej ogólnej wiary mówi, że dusze te należą do starożytnych druidów, co jest szczególnie interesujące, gdyż wskazuje na długość ich kary, a nam przypomina o micie Żyda Wiecznego Tułacza. Jest to przypisywane główne Coblynau, czyli mieszkańców kopalń i jaskiń. Inna wersja uważa elfy za złe duchy o jeszcze odleglejszych korzeniach - mają to jakoby być te same duchy, które zostały zepchnięte z murów nieba razem szatanem, a które nie spadły do piekła - a zamiast tego dostały się na ziemię, gdzie wolno im mieszkać do dnia zagłady tak jak to zostało opisane powyżej. Pewien detal tej teorii jest wytłumaczeniem rzadkich spotkań z tymi istotami w dzisiejszych czasach, powstrzymują się bowiem one od psot, bo wyczuwają zbliżający się dzień sądu i chcą w ten sposób przypodobać się niebu.

Prorok Jones w mistrzowski sposób objaśnia teorię poetycko-religijną tłumacząc dlaczego elfy były tak aktywne w Walii. Po stwierdzeniu, że niektórzy w Monmouthshire byli na tyle ignorantami, by uważać elfy za szczęśliwe duszki ze względu na czynione przez nie tańce i muzykę, przechodzi on do zapewnienia w jak najbardziej przekonujący sposób że Tylwyth Teg są niczym innym „po tym cały gadaniu o nich”, jak tylko

pozbawionymi ciała duchami ludzi, którzy żyli i umarli bez udziału w radości daru łaski i zbawienia, takimi jak poganie i inni, a których kara w ten sposób jest dużo łagodniejsza niż tych, którym dana jest możliwość zbawienia. Może jednak ktoś chciałby wiedzieć czemu elfy pojawiały się w Walii częściej niż w innych krajach? Odpowiadam na to, że nie mogę podać innego powodu niż ten, że utraciwszy światło prawdziwej religii w ósmym i dziewiątym wieku chrześcijaństwa, a przyjąwszy papizm, nastąpiła dla nich mroczna noc, a wtedy te duchy ciemności stały się odważniejsze i śmielsze. Zaś ludzie, jak już wcześniej powiedziałem, w swej wielkiej ignorancji postrzegając ich jako towarzystwo dzieci w suchych i ciepłych miejscach, tańczących i bawiących się w rytm muzyki, uznali ich za szczęśliwe byty ...i przywitali ich z otwartymi rękoma w swych domach. Walijszczyki zaprzyjaźnili się z elfami za czasów Henryka IV, a zło wtedy urosło w siłę, bowiem obowiązywało prawo mówiące między innymi, że nie wolno było uczyć dzieci i wiele podobnych, przez co spadła na nich całkowita ciemność. Te okrutne prawda spowodowały bunt Owena Glandwr, a przyłączyli się do niego Walijszczyki, którzy naiwnie myśleli, że uda im się zrzucić jarzmo saksońskiej władzy zanim jeszcze odpokutują za swe grzechy.”

Cokolwiek by nie uważano lokalnie o przyczynach istnienia elfów, bez żadnych wątpliwości można stwierdzić, że w folklorze Walii i innych krajów można znaleźć szczątki starożytnej mitologii - migoczące kawałki magicznych konstelacji, które świeciły w mroku prehistorycznych czasów, wielkie i majestatyczne tak to olbrzymie Nieznane, z którego zostały one rozwinięte przez naszą barbarzyńską wyobraźnię. Dzięki pomocy współczesnej nauki „te czasy, które mity wieków zaludniły heroicznymi cieniami” [Marquis of Bute, adres przez Królewskim Instytutem Archeologicznym, spotkanie w Cardiff.] są nam przybliżane, zaś skromne walijskie Tylwyth Teg mogą sięgnąć wstecz i podać ręce bogom Olimpu.

[1]W tekście występuje faries jako elfy, trudno więc użyć słowa „elfy” w odniesieniu do brytyjskiego „goblins”. Problem polega na tym, że tolkienowska fantastyka wykrzywiła nieco postrzeganie całej mitologii, to dopiero u niego rysują się tak wyraźne podziały ras, ich cechy charakterystyczne i cała otoczka. Tutaj wychodzi na to, że jedno jest jakby podzbiorem drugiego, jakby elfami można było nazwać wszystkie małe i duże stworzenia magiczne, czy to pomagające, czy to szkodzące ludziom - przypisy pochodzą od tłumacza, chyba, że zaznaczono inaczej.

[2]Polski przekład *Mabinogionu* w trzech tomach: *Mabinogion. Cztery gałęzie Mabinogi, Mabinogion. Pięć opowieści walijskich, Mabinogion. Romanse arturiańskie*, opublikowało Wydawnictwo „Armoryka” - przyp. red.

[3]Angielskie „pooka” tłumaczy się również jako puk. Ma to niby być staroangielskie słowo odpowiadające dzisiejszemu „goblin”.

[4]Z angielskiego „Puck”.

[5]Było tutaj angielskie „Bogies”, które znaczy po polsku tyle co złośliwy imp, hobgoblin, a że słowo „hobgoblin” występuje kawałek dalej, użyty został synonim.

[6]W oryginale: neck & mermen.

[7]Angielski taniec ludowy.

[8]Bogie & Hobgoblin.

[9]Nadzwyczaj podobne do polskiego bóg.

[10]Z perskiego bóg, pan, władca. Najwyraźniej oba wyrazy były też używane jako nazwy własne w tym kontekście.

[11]31 grudnia - ostatni dzień roku na ogół związany z zabawą. Nazwa nawiązuje do tego, iż owego dnia jest obchodzone liturgiczne wspomnienie św. Sylwestra, papieża i wyznawcy - przyp. red.

[12]Zbeletryzowaną wersję tej legendy opublikowało Wydawnictwo „Armoryka” w książce *Tam Lin i królowa elfów* - przyp. red.

[13]Dziwne miejsce, w oryginale to zdanie właśnie tak wygląda - Sion i Shon to te same słowa, tak jak Smith i Smyth.

Ponieważ w Walii jest mało nazwisk, ma to prawdopodobnie zachęcać do pokazywania różnorodności zapisu.

[14]Opowieść tę, można znaleźć w dziele *Mabinogion*. Cztery gałęzie *Mabinogi*, opublikowanym przez Wydawnictwo „Armoryka” - przyp. red.

[15]Liga – miara długości – przyp. red.

[16]W oryginale: Protestant Dissenters – przyp. red.

[17]*Gdy duch nieczysty opuści człowieka, błąka się po miejscach bezwodnych, szukając spoczynku, ale nie znajduje* - Mt 12, 43 (cyt. za *Biblią Tysiąclecia*; przypis do tego wersetu głosi: „Starożytni uważali miejsca pustynne za mieszkanie złych duchów”) – przyp. red.

[18]Niezrozumiałe, bo dęby choć są rozdzielnopłciowe, to jednopienne, co oznacza, że na tych samych drzewach znajdują się zarówno kwiaty męskie, jak i żeńskie. Być może nie chodzi tu o klasyfikację botaniczną, a o jakieś lokalne tradycje walijskie określające drzewa jako „męskie”, bądź „żeńskie” na podstawie ogólnego wyglądu pnia i korony, a nie mające nic wspólnego z botaniką – przyp. red.

[19]Opowieść proroka jest porwana, w oryginale brakuje słów i zdań, stąd przetłumaczony tekst może wydawać się nieskładny.

[20]Janowiec ciernisty (*Genista germanica* L.) – krzew z rodziny bobowatych (*Fabaceae*) – przyp. red.

[21]W oryginale 'Camb. Sup'.

SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Rozdział I Opowieści o elfach i starożytnej mitologii](#)

[I.](#)

[II.](#)

[III.](#)

[IV.](#)

[V.](#)

[Rozdział II Klasyfikacja elfów walijskich](#)

[I.](#)

[II.](#)

[III.](#)

[IV.](#)

[V.](#)

[VI.](#)

[VII.](#)

[VIII.](#)

[IX.](#)

[X.](#)

[XI.](#)

[XII.](#)

[Rozdział III Elfy znad jezior](#)

[I.](#)

[II.](#)

[III.](#)

[IV.](#)

[V.](#)

[VI.](#)

[VII.](#)

VIII.

IX.

Rozdział IV Elfy górskie

I.

II.

III.

IV.

Rozdział V Odmieńcy

I.

II.

III.

IV.

V.

Rozdział VI Życie z Tylwyth Teg

I.

II.

III.

IV.

V.

VI.

VII.

VIII.

IX.

X.

XI.

XII.

XIII.

Rozdział VII Elfia muzyka

I.

II.

III.

IV.

Rozdział VIII Elfie kręgi

I.

II.

III.

- IV.
- V.
- VI.
- VII.
- VIII.

Rozdział IX Pobożność jako ochrona przed zakusami Tylwyth
Teg

- I.
- II.
- III.
- IV.

Rozdział X Elfie pieniądze i elfie dary ogólnie

- I.
- II.
- III.
- IV.
- V.
- VI.

Rozdział XI Korzenie elfów walijskich

- I.
- II.
- III.
- IV.
- V.
- VI.

Przypisy.